

# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# W HARARZE

Karol May

Tłum. Anonim

# AHMED BEN ABUBEKR

Życie podobne jest do morza o niezmierzonej ilości wzburzonych fal. Na brzegu stoi obserwator i wysyła tysiące pytań pod adresem losu, ale ten odpowiada nie słowem, lecz faktami. Wydarzenia rozgrywają się jakby samoistnie, śmiertelni muszą z uległością cierpliwie czekać na to, co im przyniesie czas.

Często człowiekowi wydaje się, że to, czego doświadczył, będzie brzemienne w skutki, a tymczasem mijają dni i lata i nic się nie dzieje. Można odnieść wrażenie, iż przeszłość nie ma związku z terażniejszością. Człowiek w swej słabości zaczyna wątpić w sprawiedliwość Opatrzności. Sprawiedliwość jednak chadza niezbadanymi ścieżkami i w chwilach, kiedy się tego najmniej spodziewamy, nadaje bieg zdarzeniom. Wtedy człowiek poznaje ku swemu zdziwieniu, że los związał nitki życia w węzeł i teraz każe mu go rozwiązać.

Tak było w Reinswalden. Mijały dni, miesiące, lata. O drogich osobach, które wyruszyły w daleki świat, wszelki słuch zaginął. Czyżby już miały nigdy nie wrócić? Ta myśl napełniała mieszkańców leśniczówki głębokim smutkiem. Gdy okazało się, że dalsze poszukiwania są daremne, ból opuszczonych wzmógł się jeszcze bardziej. Ale czas, który koi wszystkie cierpienia, zrobił swoje. Nikt już nie skarżył się, nie rozpaczał, tylko w sercach zostało żywe wspomnienie o tych, którzy zaginęli. Nikt też nie miał odwagi przyznać się, że utracił ostatnią nadzieję.

Tak minęło wiele lat. Nadszedł rok 1866. On właśnie przyniósł ciąg dalszych wypadków, już dawno — jak sądzono — skończonych i zamkniętych.

Na Wyżynie Abisyńskiej wznoszącej się na zachodnim brzegu Zatoki Adeńskiej, która łączy Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim, jest kraina zwana Hararem. Należy częściowo do sławnego Timbaktu, częściowo zaś do bajecznego eldorado. Najwięksi podróżnicy różnych nacji próbowali zbadać ten zakątek. Bez rezultatów. Jedynie w roku 1854 pewnemu oficerowi brytyjskiemu, Richardowi Burtonowi, udało się przywieźć stamtąd nieco wiadomości. Inni dotarli wprawdzie do Hararu, ale nikogo nie mogli poinformować o panujących w nim stosunkach, nigdy bowiem nie powrócili. Zatrzymywano ich jako jeńców.

Na wniosek rządu Wielkiej Brytanii, a zwłaszcza dzięki usilnym staraniom lorda Wilberforce'a, doszło do porozumienia między poszczególnymi państwami, na podstawie którego zabroniono handlu niewolnikami. Okręty wojenne wszystkich krajów miały nie tylko prawo, ale i obowiązek zatrzymywać okręty wiozące niewolników, uwalniać ich, bez względu na to kim byli. Mimo to niewolnictwo ciągle istniało, a w niektórych krajach nawet kwitło. Jeszcze w połowie dziewiętnastego wieku każdy, kto zwiedzał Konstantynopol, mógł stwierdzić, że w mieście tym sprzedawano na targach ludzi wszelkich ras i narodowości. Najlepsze rezultaty przynosiły polowania na niewolników w okolicach Nilu oraz w miejscowościach położonych nad Morzem Czerwonym lub na wschodnich wybrzeżach Afryki.

Do Hararu, leżącego w głębi lądu, można się dostać jedynie poprzez Somalię. Niebezpieczna to podróż; mieszkańcy tej krainy bowiem to lud bitny, wojowniczy, nie ustający w walkach z sąsiadami. Oto przyczyna, dla której tylko bardzo niewielu jeńcom udało się uciec z Hararu i dotrzeć nad brzeg morza.

Tę to krainę przemierzała karawana, kierując się w stronę zachodzącego słońca. Obok ciężko objuczonych wielbłądów szli ludzie czarni jak heban, uzbrojeni w egzotyczną broń: stare flinty o długich, perskich lufach, maczugi z drzewa hebanowego i łuki z zatrutymi strzałami; poza tym każdy

miał długi, ostry nóż za pasem.

Wielbłądy były powiązane ze sobą — ogon pierwszego do uzdy drugiego i tak dalej. Jeden zamiast ładunku dźwigał na grzbiecie coś w rodzaju lektyki osłoniętej z czterech stron firankami, przez które swobodnie przepływało powietrze. W lektyce niesiono zapewne kobietę, której nikt niepowołany nie powinien był oglądać. Obok tego wielbłąda jechał na mocnym, białym mule człowiek wyglądający na dowódcę orszaku. Odziany w długi, biały płaszcz beduiński, na głowie miał turban tegoż koloru, broń zaś taką samą jak ludzie eskortujący karawanę, tylko rękojeść noża i łożysko flinty były ze srebra. Ostrem, przenikliwym wzrokiem lustrował okolicę. W pewnej chwili zatrzymał muła.

— Otmanie! — zawołał. — Czy widzisz ten wąwóz?

— Widzę go, emirze.

— Tam będziemy dziś nocować. Byłeś już ze mną nieraz w Hararze. Czy pamiętasz jeszcze drogę?

— Pamiętam, emirze.

— Doskonale. Od wąwozu niedaleko do El-Gel, a stamtąd tylko godzina jazdy do siedziby sułtana. Odwiąż swego wielbłąda, jedź i zamelduj, że jutro rano przybędę.

Otman odwiązał wielbłąda, następnie wskazując na lektykę, zapytał bardzo cicho:

— Czy mam powiedzieć sułtanowi, co wieziemy ze sobą?

— Powiedz, że szale i jedwabie, miedź, ołów, noże, proch, cukier i papier. Powiedz, że chcemy to wszystko zamienić na tytoń, kość słoniową, masło i szafran. Ale o niewolnicy nie mów ani słowa.

— Czy mam zabrać ze sobą haracz?

— Nie. Sułtan nigdy nie ma dość daniny. Jeżeli pošlę mu teraz, zażąda później nowych podarunków. No, jedź!

Otman wykonał rozkaz.

Karawana skierowała się ku wąwózowi, o którym mówił emir. Gdy jeźdźcy zsiadli ze swych zwierząt, słońce właśnie skryło się za horyzont. Zachody następują w tych stronach przeważnie o szóstej wieczorem. Jest to godzina modlitwy, naznaczonej przez proroka Mahometa.

Wszyscy Beduini w mniejszym lub większym stopniu zajmują się rozbojem, ale jednocześnie są tak religijni, że za największy grzech poczytują opuszczenie jakiegokolwiek modlitwy. Dlatego też członkowie karawany natychmiast rozpoczęli modły. Obrządek ich wymaga umycia rąk. Ponieważ nie mieli wody, posługiwali się piaskiem, przepuszczając go przez palce, jakby to była woda. Ukończywszy modlitwę, zdjęli ładunki z wielbłądów, także lektykę, po czym usiedli, by wypocząć po długiej i uciążliwej podróży. Emir wziął kilka daktyli, nalał do skózanego kubka nieco wody, podszedł do lektyki i zapytał uchylając zasłonkę:

— Chcesz jeść i pić?

Nie było żadnej odpowiedzi, ale kobieta przyjęła owoce i wodę.

— Allach jest wielki, obdarzył mnie złą pamięcią — mruknął emir. — Zapominam ciągle, że nie rozumiesz naszego języka.

Zabrał opróżniony kubek i rzucił na dawne miejsce. Na jego niemy znak kilku ludzi podniosło się z ziemi. Objęli wartę, by wróg nie napadł znienacka, a niewolnica nie uciekła. Wkrótce obóz pogrążył się w głębokim śnie.

Otman przybył tymczasem do miejscowości, o której była mowa, i nie zatrzymując się, pośpieszył dalej w kierunku Hararu. Stał tam w jakąś godzinę po rozmowie z dowódcą.

Bramy miasta zamykano o zachodzie słońca. Później nikt nie mógł bez zezwolenia sułtana wchodzić przez nie ani wychodzić. Otman długo musiał kołatać, zanim pojawił się strażnik.

— Kto tam? — zapytał nie otwierając.

— Sługa sułtana Ahmeda Ben Abubekra.

— Jak się nazywasz?

— Imię moje brzmi: Hadzi Otman Ben Mehemmed Ibn Hulam.

— Do jakiego szczepu należysz?

— Jestem wolnym Somalijczykiem.

Mieszkańcy Hararu gardzą Arabami i szczepem Somalijczyków, dlatego też strażnik rzekł:

— Człowieka z Somalii nie wolno mi wpuścić. Byłbym surowo ukarany, gdybym dla takiej przyczyny zakłócał spokój sułtana.

— Z pewnością będziesz ukarany, ale wtedy, gdy nie zameldujesz, że żądam wpuszczenia. Jestem posłańcem emira Arafata.

Słowa te zastanowiły strażnika. Wiedział, że emir Arafat jest przywódcą karawan handlowych, z których sułtan ciągnie świetne zyski. Dlatego powiedział:

— Arafat? Spróbuję. Przekażę pieczę nad bramą koledze, sam zaś pójdę i zamelduję o twoim przybyciu.

Otman dopiero teraz zsiadł z wielbłąda. Strażnik pozostawił przy bramie towarzysza i udał się do pałacu sułtana.

Pałac nie jest tu właściwie celnym słowem. Sławna, a raczej osławiona stolica była niewielkim miasteczkiem otoczonym najzwyczajszym murem. Domy wyglądały jak murowane szopy, a „pałac” sułtana przypominał stodołę. Obok stała budowla z nie ciosanych kamieni. Dzień i noc dobiegał z niej dźwięk kajdan. Było to państwowe więzienie. Do jego głębokich piwnic nigdy nie docierało światło dzienne. Biada więźniom, których do nich wtrącono. Sułtan nie dawał im ani jedzenia, ani picia. A jeżeli nawet jakiś przyjaciel lub krewny przyniósł trochę wody i zimnej, gęstej papki z mąki kukurydzianej, to i tak więźniowie umierali z wycieńczenia.

Tronem potężnego monarchy, pana życia i śmierci poddanych, była skromna ława drewniana, jaką można spotkać tylko u biedaków. Sułtan siadywał na niej z nogami podwiniętymi zwyczajem wschodnim. Albo dumał samotnie, albo też udzielał audiencji, podczas których każdy przejęty był śmiertelnym strachem, wystarczył bowiem najmniejszy drobiazg, by skazano go na tortury czy śmierć.

I dzisiejszego wieczora sułtan siedział na swym tronie. Na ścianie za nim wisiały stare, nie używane już flinty, szable, żelazne kajdany na ręce i nogi — dowody surowości władcy. Przed sułtanem siedział wezyr w otoczeniu mahometan uczonych w piśmie. Z tyłu, na ziemi, widać było wynędzniałe postacie, zakute w kajdany. Sułtan lubił wokół tronu mieć niewolników. Uważał, że uświetniają jego potęgę.

Z boku stał jakiś jeniec, ręce i nogi miał skute łańcuchami. Był stary, wysoki i chudy, ubrany w postrzępioną koszulę. Rozpacz pochylała jego głowę ku ziemi. Zgaszony wzrok i zapadnięte policzki wskazywały, że jest wygłodzony i głęboko nieszczęśliwy. Mówił coś zapewne przed chwilą, oczy bowiem wszystkich były skierowane na niego. Sułtan spoglądał ponuro i groźnie.

— Psie! — zawołał. — Kłamiesz niktzemnie. Jakże to możliwe, aby chrześcijański władca był potężniejszy od wyznawców proroka? Czymże są wszyscy twoi królowie wobec mnie, sułtana z Hararu? Oczy jeńca zabłyśły.

— Nie byłem królem, tylko jednym z najdostojniejszych obywateli mego kraju. Mimo to czułem się po tysiącokroć szczęśliwszy i bogatszy od ciebie.

Sułtan wyciągnął ręce i rozstawił wszystkie palce. W tej samej chwili wysunęła się z kąta jakaś postać, podeszła do jeńca i ciężką laską bambusową wymierzyła mu dziesięć uderzeń. Bity nie drgnął nawet. Mogło się здаwać, że jest przyzwyczajony do takiego traktowania i że ciosów już wcale nie

czuje.

— Czy odwołasz? — zapytał sułtan.

— Nie!

Władca rozkazał, aby wymierzono mu następne piętnaście kijów. Gdy i to nie poskutkowało, zagroził:

— Pokażę ci, jaką moc posiadam. Jesteś chrześcijańskim psem. Nakazałem ci czcić proroka, ale dotychczas nie usłuchałeś mnie. Dziś rozkazuję po raz ostatni. Czy będziesz posłuszny, nędzny robaku?

— Nigdy! Zabrałeś mi wolność, możesz pozbawić życia, ale wiary mojej ci nie oddam. Tu kończy się twoja moc!

Sułtan zacisnął pięści.

— Każę cię wrzucić do najgłębszego lochu!

— Uczyń to! Chcę umrzeć, tęsknię za śmiercią. Skończą się moje męki, nareszcie znajdę spokój i ciszę.

— Stanie się, jak chcesz. Wtrąćcie go do najgorszego z lochów!

Kat wyprowadził starca na dziedziniec. Tam przyłączyło się do niego jeszcze kilku ludzi i zawlekli jeńca do więzienia. Gdy otworzono drzwi, uderzyły ich nieprawdopodobne wyziewy. Z wewnątrz słychać było pobrzękiwanie łańcuchów i jęki. Nie było światła, więc starzec nie mógł nic zobaczyć. Zaprowadzono go do jakiegoś kąta. Kat podniósł przy pomocy swych towarzyszy wielki, ciężki kamień. Popchnąwszy jeńca z całej siły, rzekł śmiejąc się:

— Tu twoje miejsce, psie chrześcijański. W ciągu dwóch dni zostaniesz pożarty.

Stary, wpadając w norę głębokości kilku metrów, uderzył twarzą o ścianę i skaleczył się. Nie miał jednak czasu pomyśleć o tym, gdyż ledwie usłyszał, jak zasunięto kamień, poczuł, że jakieś zwierzęta zaczynają obgryzać mu nogi.

— Na Boga, a więc naprawdę mam zostać żywcem pożarty! — zawołał w trwodze.

Były to głodne szczury. Zaczął się bronić przed nimi. Chwytał je w ręce i dusił, ale setki ukąszeń sprawiały mu straszne cierpienia. Loch miał przeszło metr szerokości oraz trzy i pół metra głębokości. Jak mógł najwyżej, oparł się plecami o jedną ścianę, nogami zaś o drugą. Pod naporem jego ciała oderwał się od muru kamień i spadł na dno lochu. Rozległy się przeraźliwe kwiki i piski.

— Dzięki Bogu, znalazłem na nie sposób!

Zsunął się nieco niżej, chwycił kamień i zaczął walić po ziemi. Tłukł tak długo, nie zważając na ukąszenia, aż ostatni szczur przestał się poruszać. Uderzając kamieniem ha wszystkie strony, natrafił ręką na jakiś okrągły, pusty wewnątrz przedmiot. Krzyknął z przerażenia, była to bowiem czaszka.

— Taki będzie i mój los. Boże, co uczyniłem, że gotujesz mi tak straszną śmierć? Niechaj będą przekłęci Cortejo i Landola...

Nagle zawtórował mu jakiś głos, dochodzący z góry:

— Landola? Niech będzie przeklęty do dziesiątego pokolenia!

Było to powiedziane tak ponurym i rozpaczliwym tonem, że starca przejął dreszcz grozy.

— Kto to? — zapytał. — Kto mówi w moim ojczystym języku?

— Powiedz wpierw, kim ty jesteś? Zrobiłeś dziurę w murze mego więzienia.

— Jestem Hiszpanem, pochodzę z Meksyku. Nazywam się hrabia Fernando de Rodriganda.

— Santa Madonna! Hrabia Fernando, brat hrabiego Manuela Rodrigandy?!

— O Dios! Mówisz o moim bracie Manuelu? Więc go znasz?

— Oczywiście, że znam. Przecież... Ale to niemożliwe, abyś był hrabią Fernandem. Hrabia umarł przed laty.

— Nie umarł, tylko został uznany za zmarłego. Landola porwał mnie i sprzedał tutaj, do Hararu.

— To, co mi senior mówi, brzmi jak bajka. Ale gdy się nad tym zastanowić... Przecież don Manuel również... Ale o tym później. Zejdę do pana, don Fernando, jeśli pomoże mi senior usunąć drugi kamień, abym wydostał się przez otwór.

— Już idę.

Stary wdrapał się po ścianie na górę. Wspólnym wysiłkiem udało się jeńcom poszerzyć dziurę. Była tak duża, że człowiek mógł się przez nią przecisnąć.

— Złaź, senior. Już wystarczy.

— A jeżeli znajdą nas razem?

— Nie znajdą. Chcą przecież, abyśmy zdechli z głodu, jeśli nas przedtem szczury nie zjedzą, więc nikt nie będzie tutaj zachodził. A gdyby przypadkiem ktoś wszedł, jeden z nas wymknie się przez dziurę.

Hrabia zsunął się na dół, a towarzysz za nim. Loch był tak wąski, że niemal dotykali się twarzami, ale to im nie przeszkadzało. Przeciwnie. Hrabia czuł się szczęśliwy, że ma przy sobie człowieka, który mu sprzyja. Człowiek ten ujął go za rękę i rzekł:

— Ach, don Fernando, pozwól, że uściskę pańską dłoń. Co to za radość po tak długich cierpieniach spotkać rodaka! Pochodzę z Manresy.

— Z Manresy? Tak blisko Rodrigandy?

— Tak. Jestem zwyczajnym prostakiem, nazywam się Mindrello. O, panie, mam ci tyle do powiedzenia! Ale najpierw chciałbym wiedzieć, kiedy opuścił pan Meksyk?

— Już bardzo dawno. Nie mogę określić dokładnie, ale sądzę, że gniję w niewoli mniej więcej od osiemnastu lat.

— O, Dios! A więc nie wie pan zapewne, że pański brat został uznany za zmarłego?

— Nie. Kiedy to się stało?

— Przed osiemnastu laty.

— Powiadasz, że go uznano za zmarłego? A może naprawdę umarł? Gdy się zastanawiam nad tym, co mnie spotkało, nabieram przekonania, że są ludzie, którym bardzo zależy na tym, aby zginął i on, i ja.

— Bez wątpienia ma senior rację. Ale jak się pan tu znalazł?

— Nie mówmy o tym na razie. Powiedz mi przede wszystkim, jakie masz wiadomości o mojej ojczyźnie, moich bliskich i w jaki sposób dostałeś się tutaj?

— Co się tyczy rodziny hrabiego, to wiadomo mi, że hrabia Manuel jest uznany za zmarłego i że don Alfonso objął dziedzictwo.

— Ach! — zawołał don Fernando. Przypomniał sobie drugi testament, który sporządził w obecności Marii Hermoyes, a potem schował w środkowej szufladzie biurka. Czyżby go nie znaleziono? Wydiedziczył przecież Alfonsa, a jednak został on hrabią de Rodriganda! Albo więc testament sfalszowano, albo ten ostatni zaginął. — Alfonso — powtórzył — jest hrabią? Jakże on rządzi?

— Och, jak prawdziwy tyran. Znienawidzili go poddani. Boją się go jak ognia, opowiadają o nim dziwy. Nie wiem, czy mi wolno o tym mówić.

— Ależ, proszę, mów zupełnie szczerze.

— Ludzie gadają, że Alfonso nie należy wcale do rodu Rodrigandów.

— Skąd te przypuszczenia?

— Trudno określić. Ale sam byłem świadkiem pewnych sytuacji, które potwierdzały podejrzenia, że Alfonso nie jest prawdziwym hrabią Rodrigandą. I chyba dlatego właśnie znalazłem się tutaj.

Napadnięto na mnie.

— Mów, mów — ponaglał go hrabia.

Mindrello nie od razu spełnił prośbę. Milczał chwilę, starając się uporządkować wspomnienia. Wreszcie zaczął opisywać wydarzenia, których widownią był zamek Rodrigandów. Opowiadał o pojawieniu się doktora Sternaua, o jego śmiałym i skutecznym wkroczeniu w życie hrabiego Manuela, o uwolnieniu hrabiego i małżeństwie Sternaua z hrabianką, zawartym w Reinswalden.

— Dzięki wynagrodzeniu — mówił — które otrzymałem za służbę u hrabiego Manuela, stałem się zamożnym człowiekiem. Wróciłem do Manresy. Wróciłem na swoją zgubę! Te łotry dowiedziały się przez swych szpiegów w Niemczech, w jaki sposób pokrzyżowałem ich plany, i całą złość skierowały na mnie. Don Manuela nie obawiali się jeszcze, bo hrabia miał zamiar wystąpić przeciwko nim dopiero po odnalezieniu przez Sternaua prawdziwego Alfonsa. Pewnego dnia otrzymałem od jednego z moich towarzyszy — trzeba panu wiedzieć, że dawniej zajmowałem się od czasu do czasu przemytem — kartkę z terminem spotkania. Pismo towarzysza znałem dobrze, nie miałem więc żadnych podejrzeń. O umówionej porze udałem się na miejsce schadzki, nie po to jednak, by przyjąć jakiegokolwiek polecenie, ale po to, by oświadczyć, że proponowany interes nie odpowiada mi. Zaledwie doszedłem do tego miejsca, chwyciło mnie czterech ludzi i skrepowało. Związano mnie, zakneblowano i poniesiono gdzieś w worku. Dokąd, nie wiedziałem.

Przerwał na chwilę. Wspomnienie strasznych przeżyć nie pozwalało mu mówić.

— Po bardzo długim czasie — ciągnął po pauzie — znalazłem się w jakiejś ciemnej norze. Proszę sobie wyobrazić moją rozpacz, kiedy po kołysaniu i szumie wody poznałem, że jestem zamknięty w kajucie okrętowej. Dopiero gdyśmy już byli na pełnym morzu, mogłem wyjść na pokład i zaczerpnąć powietrza. Zaprowadzono mnie do kapitana, do tego samego Landoli, o którym pan mówił. Kpiąc w żywe oczy, oświadczył mi, że pewnym ludziom zależy bardzo na moim zniknięciu, dlatego mam zostać marynarzem i słuchać ślepo rozkazów pod groźbą kary śmierci. Wkrótce zorientowałem się, że ten Landola jest handlarzem niewolników i piratem. Pomyśleć tylko, miałem mu pomagać! Miałem chwycać tych biednych Murzynów i handlować nimi! Miałem napadać na okręty, rabować je i brać udział w mordowaniu załogi! Nic dziwnego, że się opierałem. Wtedy znowu wtrącono mnie do ładowni. Przymierałem głodem, znosiłem razy, których mi nie szczędzono. Ponieważ mimo to nie kwapiłem się do udziału w zbrodniczych postępach, Landola oświadczył, że przeznaczył dla mnie najsurowszą karę: sprzeda mnie jako niewolnika. Płynęliśmy obok wschodniego wybrzeża Afryki. Zarzucił kotwicę koło Garadu i udał się na ląd. Wkrótce sprzedał mnie naprawdę.

Mój nabywca był handlarzem niewolników. Musiałem w kajdanach iść za nim w głąb kraju, aż do Doli. Tam sprzedał mnie komuś innemu. Wędrowałem z rąk do rąk. Ostatnim moim panem był okrutny kacyk murzyński. Język ludzki nie zdoła opisać tego, co u niego wycierpiałem. Musiałem pracować za trzech i spełniać najohydniejsze posługi. Maltretowano mnie i morzono głodem. Mimo tych strasznych warunków i niezdrowej okolicy wytrzymałem wszystko. Wreszcie mój pan umarł, a jego spadkobierca sprzedał mnie pewnemu mieszkańcowi Hararu. Ten zaś oddał mnie w podarunku sułtanowi.

— Od jak dawna tutaj jesteś?

— Od jakichś czternastu dni.

— To dlaczego cię nie widziałem? Pracowałem przez ostatnie trzy tygodnie na plantacjach kawy sułtana. Za co wtrącono cię do więzienia?

— Ledwie tu przybyłem, kazano mi przejść na obcą wiarę.

— Ten sam los przypadł nam w udziale.



— Katowano mnie, a gdy mimo ciągów nie chciałem prosić o pomoc Mahometa, zostałem wtrącony do lochu. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Stary hrabia pograżył się w rozmyślaniach. Opowieść Mindrella była czymś w rodzaju klucza do rozwiązania zagadki. Czy to zrządzenie Opatrzności? Czy miał wierzyć, że Bóg uratuje go od śmierci i długiej niewoli? Złożył ręce do modlitwy i padł na kolana. Mindrello nie widział go, ale wyczuł, co się dzieje z hrabią i modlił się również. Wreszcie były przemytnik odezwał się:

— Zbierzmy siły i krzepmy się nadzieją, czcigodny mój panie. Bóg jest miłością, pomoże nam, ale tylko wtedy, gdy sami zaczniemy działać.

— Masz rację — rzekł hrabia, podnosząc się z klęczek.

— Musimy zastanowić się, w jaki sposób stąd się wydostać.

Rozważywszy wszystkie ewentualności ucieczki, doszli do przekonania, że będzie ona możliwa jedynie z lochu Mindrella.

— Czy nie możemy zaraz przystąpić do dzieła? — spytał.

— Niestety, dziś jest za późno. Rano odkryto by naszą ucieczkę i zaraz rozpoczęto pościg. Wtedy bylibyśmy zgubieni!

— Ale już teraz możemy chyba spróbować, czy uda nam się poruszyć kamień zamykający otwór do mojej celi.

— Słusznie. Jeżeli nam się to uda, będziemy przynajmniej spokojni, że w każdej chwili możemy wymknąć się z więzienia. Jeżeli zaś nie, będziemy wiedzieli, że trzeba szukać innej drogi.

— Przejdźmy więc do mojej celi. Idę pierwszy. Zaczął wdrapywać się po murze, hrabia zrobił to samo.

Bez trudu udało im się dotrzeć do drugiego lochu, który miał tę samą szerokość i głębokość, bo nora hrabiego. Półtora metra nad ziemią w murze widniał korytarz. Aby tam się dostać, musieli wspiąć się na ścianę; robili to tak samo, jak don Fernando, kiedy walczył ze szczurami. Gdy znaleźli się w korytarzu, bez specjalnego wysiłku — po kilku krokach stał się trochę szerszy — doszli do kamiennej płyty, zamykającej im drogę do wolności.

— No, teraz się okaże, czy damy radę — powiedział Mindrello.

Było sporo miejsca, więc mogli stanąć obok siebie, mocno oprzeć się nogami o ziemię i z całych sił starać się poruszyć płytę. Z początku szło bardzo ciężko, ale po kolejnym naciśnięciu płyta przesunęła się nieco w bok, tak że powstał nieduży otwór, przez który ujrzeli gwiaździste niebo.

— Chwała niech będzie Bogu i Wszystkim Świętym!

— szepnął hrabia. — Jakże cudowne jest to świeże powietrze w porównaniu z ohydny smrodem tam na dole! Mam wrażenie, jakby gwiazdy uśmiechały się do nas i błogosławiły nasz plan. Czy umiesz z gwiazd odczytywać godzinę?

— Tak. Jest po północy.

— Więc za późno na ucieczkę. Jak cicho i spokojnie dokoła! Harar pogrążony jest w głębokim śnie. Przed domem hadzi Amandana stoją jeszcze worki daktyli, które dziś otrzymał. Widzę je mimo ciemności.

— Worki z daktylami? — zainteresował się Mindrello.

— Gdybym mógł choć kilka zabrać. Przez cały dzień nic nie jadłem.

Hrabia wychylił głowę przez otwór i uważnie się rozejrzał.

— Wychodząc stąd popełnimy nieostrożność — rzekł.

— Musimy jednak pamiętać o tym, że jutro czeka nas wielki wysiłek. Co do mnie, to pragnienie mam większe od głodu, a wiem, że pod dachem wisi skórzana torba napełniona wodą. Mindrello, ryzykujemy?

— Dlaczego nie?

— Zgoda! Podniesiemy kamień i wydostaniemy się na zewnątrz.

— Na wszelki wypadek wezmę nóż.

— Masz nóż?

— Tak. Udało mi się go zabrać niepostrzeżenie. Zszedł na dół. Wkrótce wrócił, trzymając nóż w zębach. Znowu oparli się o kamień i odsunęli go na bok. Kiedy byli już na ziemi, przypadli do niej i zaczęli się czołgać w kierunku budynku, pod którego dachem stały worki z daktylami. Nad nimi wisiał wór z wodą, o którym mówił hrabia. Don Fernando zbliżył się, chcąc ugasić pragnienie, ale towarzysz go powstrzymał:

— Nie teraz, senior, później. Ten wór jest nam bardziej potrzebny aniżeli hadziemu. Proponuję, byśmy go zabrali.

— O świcie wykryją kradzież.

— I co z tego? — Mindrello zarzucił sobie na plecy worek pełen daktyli. — Weź tę wodę, senior. Będziemy mieli co jeść i pić.

Po tych słowach pobiegł szybko do lochu. Hrabia, chcąc nie chcąc, wziął wór z wodą.

Najpierw spuścili na dół swe zdobycze, potem sami zeszli. Zaspokoili głód i pragnienie, po czym znowu wrócili na górę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Mogli tam siedzieć, póki miasto spało. Gdy usłyszeli daleki gwar, umieścili płytę na właściwym miejscu i zsunęli się do lochu.

— Czy zostaniemy razem, senior? — zapytał Mindrello.

— Nie. Po co igrać z losem. Być może, zechcą zobaczyć któregoś z nas. Wracam do mojej celi. Na wszelki wypadek wstawmy też kamienie w otwór między moim a twoim lochem.

# NIEWOLNICA

Podczas gdy Otman wyprawiony przez dowódcę karawany czekał pod bramą miejską, strażnik udał się do sułtana, aby go zameldować. Wszedł do pałacu w chwili, gdy właśnie odprowadzano do więzienia hrabiego Fernanda. Przystąpił próg sali. Sułtan wciąż jeszcze siedział na ławie. Twarz władcy była ponura, gniew na krnąbrnego niewolnika nie minął. Kto go znał, wiedział, że w takiej chwili niebezpiecznie było zbliżać się do niego. Zmierzył strażnika ostrym wzrokiem i zapytał:

— Czego chcesz o tak późnej porze?

Zapytany padł na ziemię, uniósł nieco głowę i odparł:

— Przed bramą stoi goniec i domaga się, aby go wpuszczono.

— Kto go przysłał?

— Emir Arafat.

— Arafat? A więc nareszcie wrócił! Długo kazał czekać na siebie! Kim jest goniec, którego przysłał?

— Należy do szczepu Somali. Sułtan zatrząsł się z gniewu.

— Do szczepu Somali? I śmiesz, psie, niepokoić mnie z powodu jakiegoś tam Somalijczyka?! Niech Allah będzie dla ciebie litościwy. Zbliź się!

Strażnik przyczołgał się do ławy, aż głowa jego dotknęła stóp sułtana.

— Uklęknij i odwróć się! — rozkazał sułtan. Biedak już wiedział, co go czeka. Władca Hararu miał bowiem zwyczaj ostrym nożem zadawać uderzenia w kark tym, którzy wzbudzili jego gniew. Jeżeli cios trafiał w szyję, ofiara umierała natychmiast. Jeżeli był mniej celny, trafiony uchodził wprawdzie z życiem, ale z bolesną raną, po której pozostawało zwykle pewne zeszywnienie karku. W Hararze i w okolicy spotykało się wielu ludzi tak okaleczonych. Była to pamiątka po gniewie władcy, który życie swych poddanych cenił mniej niż pierwszą lepszą muchę.

Strażnik ukląkł, zamknął oczy i nadstawił kark. Sułtan wyciągnął swój jatagan, zamierzył się i uderzył. Cios był bardzo silny, strumień krwi trysnął z rany, ciało runęło na ziemię.

— Taki los musi spotkać wszystkich, którzy są nieposłuszni! — zawołał sułtan. Potem zapytał kata, który wrócił właśnie z więzienia: — Czy w dobrym miejscu umieściłeś jeńca?

— Tak, panie — odparł kat, plackiem padł przed władcą. — Zepchnąłem go do najgorszego lochu. Będzie miał straszną przeprawę ze szczurami.

— Doskonale! Jesteś posłusznym sługą, więc nie minie cię nagroda. Zajmiesz miejsce strażnika. Urząd twój rozpoczyna się od tej chwili. Idź przed bramę i powiedz temu przekłętemu Somalijczykowi, by go Allah potępił. Niechaj wraca do swego pana i zamelduje, iż oczekuję jego podarków w dwie godziny po nastaniu świtu. Teraz nie może wejść do miasta żaden mieszkaniec Hararu, a co dopiero Somalijczyk.

— Czy mam emira wpuścić natychmiast, gdy się zbliży z podarunkami?

— Nie. Pomyślałby, że nie mogę się go doczekać. Niech przez całą godzinę stoi pod bramą ze swoimi ludźmi. I tak okazuję temu psu łaskę, że mu w ogóle pozwalam wejść do miasta.

Otman był przekonany, że sułtan zaraz go przyjmie, toteż zdziwił się niepomiernie, gdy nowo mianowany strażnik powiedział do niego:

— Wróć do swego pana i przekaz mu, że nasz władca nie chce cię widzieć.

— Allah jest wielki! A dlaczego to?

— Bo pogardza szczepem Somali. Strażnik, który pytał, czy cię można wpuścić, poniósł za to śmierć. Jestem jego następcą.

— Powiadasz, że mam wrócić do swego pana?! Powiadasz, że sułtan pogardza szczepem

Somali?! — pieniał się Otman. — A czy wiesz o tym, że nie mam pana?! My, Somalijscy, jesteśmy wolnymi ludźmi, a wy nikczemnymi parobkami i niewolnikami! Życie wasze należy do tyrana. Zabiera je, gdy mu na to przyjdzie ochota. Powiada, że nami pogardza. Ale mimo to kupuje nasze towary i targuje się z nami! Bądź zdrow, niewolniku swego kata!

Wsiadł na wielbłąda i odjechał.

Wkrótce miasto pogrążyło się we śnie. Spali wszyscy z wyjątkiem naszych dwóch jeńców i rodziny zabitego strażnika.

Następnego ranka, w dwie godziny po nastaniu świtu, do nowego strażnika przybiegł sługa sułtana.

— Czy karawana już jest? — zapytał.

— Jeszcze nie.

— Nasz pan cię wzywa.

Strażnik zbladł ze strachu. Musiał jednak usłuchać rozkazu.

Sułtan siedział już na swym drewnianym tronie. Strażnik padł plackiem, by wysłuchać słów władcy. Obok sułtana stało kilku możnych.

— Czy emir Arafat przybył z podarunkami?

— Jeszcze nie, panie.

— Dlaczego ten pies zwleka? Czy nie powiedziałeś jego gońcowi, że oczekuję go w dwie godziny po wschodzie słońca?

— Nie, nie starczyło mi czasu — wymamrotał strażnik, drżąc na całym ciele.

— Dlaczego, ty psie, ty psi synu? — ryknął tyran.

— Odjechał tak prędko...

— Więc przez ciebie mam czekać? Allah jest wielki i sprawiedliwy. Co człowiek daje, to otrzymuje z powrotem. Jako kat pozbawiłeś życia wielu ludzi, teraz rozstaniesz się ze swoim. Chodź tutaj!

Powtórzyła się scena z poprzedniego wieczora. W kilka chwil później strażnik leżał na ziemi z przebitą szyją. Następca jego pośpieszył ku bramie, otrzymawszy klucze z rąk pana. Sułtan był wściekły. Oświadczył wprawdzie, że pogardza szczepem Somali, ale chciał jak najszybciej zobaczyć podarki.

Emir zameldował się dopiero w południe. Sułtan nie kazał mu czekać przed bramą, jak postanowił wczoraj, lecz wydał rozkaz wpuszczenia go natychmiast i wprowadzenia do pałacu. Arafat zjawił się wkrótce. Towarzyszyło mu pięć osób, które eskortowały wielbłąda objuczonego podarunkami dla sułtana. Przed salą audiencyjną musieli odłożyć broń i zdjąć obuwie.

Władca przyjął ich obcesowo.

— Dlaczego nie padacie na kolana? — zawołał.

— Padamy na kolana tylko przed Allahem — odpowiedział dumnie emir. — Jesteśmy wolnymi ludźmi i nie modlimy się do żadnego człowieka.

— Dlaczego przybywasz tak późno?

Pytał tonem tak niegrzecznym, że emir odparł z gniewem:

— Bo mi się tak podobało.

— Powinieneś postępować według mojej woli, a nie według swojej. Czy wiesz, że z twego powodu zabiłem dwóch strażników?

— Nie moja to wina. Przyjechałem jako kupiec, a nie awanturnik i nie po to, abyś mnie obrażał.

— Usta masz zuchwałe. Czy cię obraziłem?

— Kto poniża gońca, ten dotyka również i jego pana. Powiedz, czy chcesz przyjąć podarki i ubić

interes ze mną? Jeżeli nie, odjeżdżam.

— Co masz dla mnie tym razem?

— Jedwabie i chusty, miedź, ołów, żelazo, proch, papier i cukier.

— A czego żądasz w zamian za to?

— Kości słoniowej, tytoniu, kawy, szafranu, masła, miodu i gumy.

— Zobaczę. Pokażcie podarki!

Wyłożono je przed sułtanem. Aż zapalił się do trzech rewolwerów, które zobaczył!

— Ta broń jest bardzo pożyteczna — rzekł. — Wiem, jak się z nią obchodzić; wiem również, że z braku amunicji staje się bezużyteczna. Był tu raz jeden Anglik, który mi ofiarował pistolet. Nauczył mnie, jak się z nim obchodzić. Zaledwie jednak odjechał, wyczerpały się naboje i broń straciła wartość.

— Mam dużo nabojów — zachwalał emir. — Mogę je wszystkie sprzedać.

— Co? Mam kupować? Darujesz mi broń, a naboje każesz kupować? Czy nie wiesz o tym, że naboje należą do rewolweru?

— Wcale nie. Musiałem zapłacić za nie w Adenie moc pieniędzy. Mam jeszcze inne naboje do dwóch pięknych strzelb, które mogę sprzedać. Takich strzelb jeszcze tu nie było. Są to amerykańskie dwururki.

— Przynieś je! — rozkazał sułtan.

— Przyniosę z innymi towarami, jeśli mi tylko powiesz, żeś zadowolony z podarków i że możemy rozpocząć nasz targ.

Sułtan jeszcze raz obrzucił dary chciwym spojrzeniem.

— Jestem najpotężniejszym władcą wszystkich krajów. Wielki sułtan nie zasługuje na tak marny haracz, ale Allah jest litościwy, więc i ja chcę być łaskawy. Przynieś, co masz. Najpierw ja poczynię zakupy, później niechaj kupują moi ludzie.

— Idę, ale mylisz się twierdząc, że nic nie ma godnego ciebie. Mam coś, czego nie posiada żaden książę, żaden sułtan.

— Co takiego?

— Niewolnicę.

— Wszystkie kobiety, czy to matki, czy córki, do mnie należą i mogę wśród nich wybierać wedle upodobania.

— Masz rację. Ale takiej dziewczyny, jaką przywiozłem, nie ma w całym Hararze.

— Czy to Nubijka?

— Nie.

— Abisynka?

— Także nie.

— A więc?

— Należy do białej rasy — oznajmił emir dobitnie. Sułtan aż zaklaskał z radości.

— Na Allacha! Więc to Turczynka!

— Nie. Turczynka kosztowałaby najwyżej pięćset talarów, ta zaś jest warta tyle samo, ale tysięcy.

Sułtan zerwał się z ławy i zawołał:

— A więc jest białą chrześcijanką, niewierną?

Trzeba pamiętać, że w tych stronach europejską niewolnicę uważano za skarb najcenniejszy, trudny do opłacenia.

— Tak — potwierdził emir. — To chrześcijanka.

— Czy jest bardzo biała?

— Jak kość słoniowa.

— Piękna?

— Żadne hurysy nie mogą się z nią równać.

— Niska?

— Przeciwnie, wysoka i zgrabna jak palma, która rodzi złote owoce.

Widać było, że zainteresowanie sułtana rośnie z każdą chwilą.

— Opisz ją! — rozkazał. — Jakie ma ręce?

— Drobne i delikatne jak u dziecka. Paznokcie jej błyszczą jak liście róży, jak pierwszy sen jutrzeński.

— A usta?

— Wargi ma jak granaty, zęby lśnią wśród nich jak perły. Kto ją całuje, temu grozi niebezpieczeństwo zapomnienia o życiu, o świecie, o samym sobie.

— Na Allacha, całowałaś ją? — zaniepokoił się sułtan, jakby niewolnica należała już do jego haremu.

Emir z trudem ukrył uśmiech zadowolenia. Już wiedział, że będzie mógł swój towar wycenić bardzo wysoko.

— Mylisz się. Jeszcze żaden mężczyzna nie pocałował tej dziewczyny.

— Czy jesteś tego pewien?

— Tak. Trudno całować, gdy nie można się porozumieć.

— Czyżby była głuchoniema?

— Skądże! Jej mowa brzmi jak śpiew słowika, ale nikt nie rozumie ani słowa.

— Co to za język?

— Nie wiem, nigdy przedtem go nie słyszałem. Wiem, jak mówią Arabowie, Somalijscy, mieszkańcy Hararu, Hindusi, Malajczycy, Turcy, Francuzi i Persowie; ten język jednak jest zupełnie inny.

— Skąd wzięłaś tę dziewczynę?

— Spotkałem na Cejlonie Chińczyka, handlarza młodych kobiet. Dałem za nią dużo pieniędzy, bo gdy tylko ją zobaczyłem, od razu pomyślałem o tobie.

— Idź i sprowadź niewolnicę wraz z resztą towaru! Emir wyszedł ze swymi ludźmi. Tymczasem dla parady powieszono w sali tronowej rewolwer. Gdy wszyscy obecni oddalili się na rozkaz władcy, sułtan zaczął osobiście znosić do skarbcza pozostałe podarunki.

Wiadomość o przybyciu karawany spowodowała, że mieszkańcy Hararu wyszli z domów, ale plac przed pałacem był pusty. Wszyscy wiedzieli, że mogą rozpocząć zakupy dopiero wtedy, gdy pan je skończy. Wiedzieli też i o tym, że wszelki pośpiech w tym względzie może kosztować życie.

Po niedługim czasie cała karawana na czele z emirem przekroczyła bramę miasta. Minawszy uliczki, zatrzymano się na placu przed pałacem. Zdjęto pakunki ze zwierząt, tylko „wielbłąd z lektyką wciąż dźwigał swój ciężar. Rozpostarto wielkie dywany i rozłożono na nich towary. Zjawił się sułtan, aby je obejrzeć. Był bez asysty, bo zakupów zawsze dokonywał sam.

— Gdzie niewolnica? — zapytał.

— Tam, w atuszy.

— Chcę ją zobaczyć. Kupiec pokręcił głową.

— Najpierw martwy towar, później żywy.

— Jestem władcą w Hararze! Chcę ją widzieć! — zawołał z gniewem.

— A ja jestem władcą moich rzeczy! — Arafat nie dał się zbić z tropu. — Tylko ten, kto kupi

dużo towaru, będzie mógł zobaczyć niewolnicę. Jeśli się do tego nie dostosujesz, odjadę.

— A jeżeli cię zatrzymam?

— Mnie zatrzymasz? Mnie weźmiesz do niewoli?!

— Tak, ciebie.

— Tysiące Somalijszyków i Arabów przyjdą i uwolnią mnie.

— Znajdą tylko twego trupa. Otwórz lektykę!

— Później.

— Dowiodę ci, że jestem tu władcą.

Postąpił kilka kroków ku lektyce. Emir zagroził mu drogę.

— Wiem, że jesteś potężniejszy ode mnie — powiedział spokojnie. — Nie mogę cię uderzyć, ale mam prawo rozporządzać moją własnością. Jeżeli otworzysz lektykę i spojrzysz na niewolnicę, strzelę jej prosto w głowę.

Wyciągnął pistolet i położył palec na cynglu. Sułtan zrozumiał, że to nie przelewki.

— No dobrze — mruknął — ale ostrzegam cię, żebyś nie wystawiał mojej ciekawości na nową próbę, bo srodze tego pożałujesz. Pokaż rzeczy!

Towary oglądał nieuważnie, bo cały czas myślał o dziewczynie. Decydował się szybko i targował mało. Ożywił się dopiero na widok dwururek z dużym zapasem amunicji. Cena była wysoka, ale zdecydował się na nią. Nie musiał jednak wypłacać od razu całej, ponieważ emir miał w zamian otrzymać również towary. Wyrównanie różnicy odłożono na później. Kupiec był bardzo zadowolony z rezultatów transakcji. Osiągnął sumę o wiele wyższą, niż się spodziewał. Dlatego nie opierał się już dłużej, gdy sułtan zaczął ponownie nalegać, aby mu pokazał dziewczynę. Zażądał tylko, żeby ceremonia odbyła się wewnątrz pałacu. Sułtan klasnął w dłonie. Zjawiała się służba, której polecił zabrać kupione towary. Czterech pacholków zdjęło lektykę z wielbłąda i zaniósło ją do sali przyjęć.

Gdy został sam z emirem, zawołał:

— Teraz otwieraj!

Emir odsunął firanki. Sułtan ujrzał kobietę, ubraną w białe, zwiewne szaty; twarz miała zasłoniętą podwójnym welonem. Rozkazał emirowi zdjąć go. Tak białej, delikatnej i pięknej twarzy nie widział nigdy w życiu! Zerwał się na równe nogi i zawołał rozkazującym tonem:

— Niech wyjdzie z lektyki!

Emir dał znak niewolnicy. Gdy go nie zrozumiała czy też zrozumieć nie chciała, ujął ją za rękę i wyprowadził. Stała teraz przed nimi wysoka i smukła, drżąca ze strachu, a jednak wyniosła jak księżniczka.

Sułtan wypłacił emirowi za piękną niewolnicę pięć tysięcy talarów. Gdy ten oddalił się, złożony głęboki, nieco przesadny ukłon, sułtan ujął dziewczynę za rękę i przeprowadził ją przez kilka komnat, jeśli tak można nazwać izby jego siedziby. Kiedy doszli do zaryglowanych drzwi, otworzył je i znaleźli się w obszernym pokoju, który zamiast okna miał niewielki, wąski otwór, przepuszczający bardzo mało światła. Na wszystkich ścianach wisiała kosztowna broń i bogata odzież; trzy obstawione były skrzyniami i pakami. Z sufitu zwisała wielka lampa oliwna. Był to skarbiec sułtana. Pod czwartą ścianą stała obita perskim dywanem otomana, jak gdyby przeznaczona dla piękności tak szczególnej, jak biała niewolnica. Gestem ręki polecił jej, by usiadła. Usłuchała. Zaczął mówić do niej w różnych znanych sobie językach. Nie rozumiała jednak ani słowa. Tylko patrzyła na sułtana i od czasu do czasu kiwała głową.

Co robić, co robić? — denerwował się sułtan. Wreszcie wpadł na pomysł. Jest przecież chrześcijanką. Chrześcijaninem jest również niewolnik, którego wczoraj kazałem wtrącić do lochu.

Twierdzi, że był księciem. Z pewnością więc mówi wszystkimi językami niewiernych. Zrobię go moim tłumaczem.

Podszedł do skrzyń i zaczął je po kolei otwierać. Chciał olśnić dziewczynę swym bogactwem. Ujrzała stopy złota i srebra, monet i drogich kamieni. Wystarczył rzut oka, aby przekonać się, że nagromadzono tu skarby milionowej wartości. Kiedy ona przyglądała się im w milczeniu, sułtan sycił się jej urodą.

Po pewnym czasie wyszedł i osobiście przyniósł dziewczynie posiłek. Postanowił ukryć ją w skarbcu, aby uniknąć swarów i scen zazdrości ze strony innych nałożnic. Kiedy zjadła, zamknął skrzynie i oddalił się. Musiał dopilnować swych ludzi, gdy rozdzielali między siebie zakupione towary. Przede wszystkim jednak chciał jak najszybciej sprowadzić tu chrześcijanina-niewolnika.

Don Fernando rozmyślał w lochu o planowanej na wieczór ucieczce. Był już u kresu wytrzymałości. Wskutek ciasnoty nie mógł położyć się, a nawet usiąść w miarę wygodnie. W dodatku wstrętem napawały go ścierwa szczurów zalegające ziemię. Musiał więc stać, co go bardzo wyczerpywało. Byle do wieczora! — pocieszał się. Jak strasznie muszą się czuć jeńcy, skazani na przebywanie w takich norach do śmierci, bez promyka nadziei, wiary, pociechy!

Było chyba południe, gdy usłyszał, że ktoś odsuwa kamień zamykający wejście do celi.

— Czy ty jesteś tym starym niewolnikiem-chrześcijaninem? — zapytano.

— Tak — odparł.

— Sułtan chce z tobą rozmawiać. Czy szczury uszanowały cię do tego stopnia, że możesz jeszcze chodzić?

— Spróbuję.

— Więc spuszczyć ci drabinę.

Był to właściwie pień drzewa, w którym wydrążono coś w rodzaju stopni. Hrabia wydostał się po nich na górę.

Znalazł się w wielkiej kamiennej celi, w której siedziało około dwudziestu skutych łańcuchami jeńców. Mocne drzwi zamykano od zewnątrz na rygiel. Stąd nie mogło być mowy o ucieczce. Dziękował Bogu, że pozwolił mu spotkać Mindrella. Tylko z jego lochu można się było wydostać na wolność.

W świetle dnia zobaczył, jak strasznie pogryzły go szczury. Ciało miał pokryte ranami, koszulę całą w strzępach. Zaprowadzono go do sali przyjęć. Sułtan zadziwił go pytaniem:

— Czy wiesz, iloma językami mówią niewierni?

— Języków tych jest bardzo wiele.

— Czy znasz je?

— Najgłówniejsze. Wykształcony chrześcijanin posługuje się kilkoma, nie tylko ojczystym.

— Słuchaj więc, co ci powiem. Kupiłem białą niewolnicę. Mówi językiem nikomu tutaj nie znanym. Zaprowadzę cię do niej - Jeśli uda ci się z nią porozumieć, zostaniesz tłumaczem. Spadnie na ciebie blask mojej łaski i nie zgnijesz w więzieniu. Będiesz ją uczył mojego języka, ażeby mogła ze mną rozmawiać. Nie wolno ci jednak widzieć jej twarzy i nie wolno powiedzieć ci nic złego o mnie, bo zginiesz.

— Jestem twoim sługą i będę posłuszny — rzekł hrabia, składając ukłon.

Tysiące myśli przemknęło mu przez głowę. Niewolnica-chrześcijańska? Azjatka czy Europejka? Jakim językiem mówi? Będzie się musiał rozstać z Mindrellem. Może lepiej udawać, że nie rozumie języka niewolnicy? A może pomogą sobie wzajemnie?

— Chodź ze mną! — rozkazał sułtan.

Gdy doszli do skarbcza, władca odryglował drzwi i wszedł do komnaty, by zasłonić twarz



niewolnicy.

Dopiero wtedy wpuścił hrabiego do środka. Don Fernando obrzucił pokój badawczym spojrzeniem. Zorientował się od razu, że w pakach i skrzyniach są ukryte skarby. Niewolnica leżała na otomanie, twarz miała zasłoniętą podwójnym welonem, przez który mogła patrzeć, sama nie będąc widziana. Gdy hrabia przestąpił próg, odwróciła twarz i drgnęła.

— Mów z nią — polecił sułtan.

Don Fernando zbliżył się do kanapy. Z okna padło nieco światła na jego twarz. Kobieta znów drgnęła. Sułtan zauważył to, tłumaczył sobie jednak, że była zaskoczona odwiedzinami obcego i w dodatku białego mężczyzny.

— Quelle est la langue, laquelle vous parlez, mademoi-selle? — zapytał hrabia po francusku.

Uniosła głowę na dźwięk tych słów, ale nie odpowiedziała. Sądząc, że nie rozumie, don Fernando zwrócił się po angielsku:

— Do you speak English perhaps, miss?

— Benito sea Dios! — odparła wreszcie po hiszpańsku. — Rozumiem po angielsku i po francusku, ale mówmy po hiszpańsku.

Don Fernando zdumiał się bardzo. Przeżycia nauczyły go jednak panowania nad sobą. Starając się nadać swym słowom całkowicie obojętny ton, zapytał:

— Na Boga, pani jest Hiszpanką? Proszę zachować spokój. Nie wolno nam niczym się zdradzić. Musimy być bardzo ostrożni.

— Dobrze, choć przyjdzie mi to z trudnością. Ale czy to możliwe, czy mnie oczy nie mylą? Co za radość, co za szczęście, jeżeli się nie mylę!

— Co ma pani na myśli, seniorito?

— Jestem Meksykanką...

Teraz hrabia ledwo ukrył zaskoczenie. Przemógł się jednak i powiedział obojętnym tonem:

— Meksykanką! Seniorito, musimy uważać, bo tyran nie spuszcza z nas oczu. Ja również jestem Meksykaninem!

— Santa Madonna! A więc się nie mylę. Twarz pana wydaje mi się znajoma, głos również. Jest senior naszym kochanym don Fernandem de Rodriganda?

Starzec panował nad sobą nadludzkiem wprost wysiłkiem woli. Mimo to głos jego zadrzał.

— Zna mnie seniorita? Kim jesteś?

— Nazywam się Emma Arbellez. Jestem córką pańskiego dzierżawcy Pedra Arbelleza.

Nastąpiła długa pauza. Przez ich serca przeszła fala uczuć. To cud, że się spotkali. Hrabia nie mógł rozpoznać rysów twarzy Emmy, usłyszał tylko, że głos jej się załamał przy ostatnich słowach. Płakała. I don Fernando nie potrafiłby zapewne opanować cisnących się do oczu łez, gdyby sułtan nie przerwał brutalnie:

— Jak widzę, rozumiesz jej mowę. Jaki to język?

— Pochodzi z kraju, którego tutaj nikt nie zna.

— Jak się nazywa ten kraj?

— Hiszpania.

— Nigdy o nim nie słyszałem. Musi to być jakiś mały, nędzny kraj.

— Przeciwnie, to duży kraj, należy do niego wiele wysp, które rozsiane są po wszystkich morzach świata.

— Czy panuje tam sułtan?

— Nie, tylko potężny król, który sprawuje rządy nad milionami mieszkańców.

Sułtan uśmiechnął się z powątpiewaniem. Nie słyszał nigdy nazwy „Hiszpania” i dlatego uważał

słowa hrabiego za nieprawdziwe.

— Co powiedziała niewolnica? — zapytał.

— Że się cieszy, iż właśnie ty ją kupiłeś. Twarz sułtana rozpogodziła się.

— Jakiego jest rodu?

— Jej ojciec był jednym z najdostojniejszych ludzi w swym kraju.

— Tego się domyśliłem. To bardzo piękna kobieta. Piękniejsza od kwiatu i jaśniejsza od słońca.

W jaki sposób wpadła w ręce emira?

— O tym jeszcze nie mówiliśmy. Czy mam ją

— Zapytaj! Powtórzysz mi później.

Hrabia zwrócił się do Emmy pozornie spokojny:

— A więc to ty, droga Emmo! Boże, w jakim stanie mnie spotykasz! Ale zostawmy to. Sułtan chce wiedzieć, jak się tutaj dostałaś. Muszę mu odpowiedzieć.

— Jak się dostałam? Przecież nawet nie wiem, gdzie jestem.

— Kraj ten zwie się Harar, tak samo nazywa się miasto, w którym jesteśmy. Przed nami stoi sułtan, władca tego kraju. Ale odpowiedz najpierw na moje pytanie.

— Chińscy piraci porwali mnie na Cejlon. Tam zostałam sprzedana człowiekowi, który przywiózł mnie tutaj.

— W jaki sposób znalazłaś się w rękach Chińczyków?

— Płynęłam na tratwie po morzu przez wiele dni. Wreszcie zabrał mnie holenderski statek. Koło Jawy napadli na niego chińscy handlarze niewolnikami.

— Na tratwie? Jak się dostałaś na morze? Czy to w pobliżu Meksyku?

— Nie, byliśmy wszyscy na odległej wyspie.

— Wszyscy? O kim mówisz, Emmo?

— No, wszyscy. Senior Sternau, Mariano, obaj bracia Ungerowie, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Karia, siostra Miksteki.

— To dla mnie same zagadki. A największa to Sternau. Kim jest ten człowiek?

— Nie zna go hrabia? Ach, radość z naszego spotkania odebrała mi pamięć. Zapomniałam, że nic panu o tym wszystkim, co zaszło, nie wiadomo. Senior Sternau wyjechał z domu, aby odszukać pana, hrabio, i kapitana Landolę.

— Na Boga, więc to ten sam człowiek, o którym mi wczoraj opowiadał Mindrello! To lekarz, a moja bratanica Roseta jest jego żoną, prawda?

— Tak.

— Operował mego brata i przywrócił mu wzrok?

— Tak. Ale skąd pan wie o tym wszystkim, don Fernando?

— Dowiesz się później. Patrz, sułtan się niecierpliwi. Jak dawno opuściłaś kraj ojczysty?

— Około osiemnastu lat temu.

Córka hacjendera zmieniła się niewiele w ciągu tych kilkunastu lat. Tu, w Hararze, gdzie ludzie, zwłaszcza kobiety, starzeją się niezwykle szybko, Emma mogła uchodzić za dwudziestoletnią dziewczynę. Odpowiedź jej wywarła na don Fernandzie ogromne wrażenie. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

— Osiemnaście lat? Gdzie byłaś przez ten cały czas?

— Na wyspie.

— Na jakiej wyspie, Emmo?

— Zapominam ciągle, że pan o tym wszystkim nie ma pojęcia. Landola wziął nas w Guaymas do niewoli i wywiózł na odludną wyspę Oceanu Spokojnego. Tam właśnie żyliśmy przez te lata aż do

chwili...

W tym momencie sułtan przerwał. Znudziło go widać przysłuchiwanie się rozmowie.

— Nie zapominaj, że tu jestem. Co ci opowiedziała dziewczyna?

— Kiedy pewnego dnia spacerowała po morskim wybrzeżu, schwytał ją i wziął do niewoli jakiś chiński pirat.

— I sprzedał ją później na Cejlonie emirowi?

— Tak.

— A więc to prawda. Czy jest kobietą czy dziewczyną?

— Dziewczyną.

— Czy mówiła coś o mnie? Hrabia skłonił się nisko i rzekł:

— Jestem twym posłusznym sługą i przede wszystkim myślę o tobie, sułtanie. Dlatego skierowałem jej oczy na ciebie i prosiłem, by mi powiedziała, co jej serce czuje na twój widok.

Twarz władcy wyrażała błogość i zaciekawienie zarazem. Poglądził się po brodzie i zapytał łagodnym tonem:

— Co ci odpowiedziała?

— Że jesteś pierwszym w ogóle mężczyzną, na którego zwróciła uwagę.

— A dlaczego?

— Albowiem twarz twoja pełna dostojności i powagi kalifa, oczy zaś siły rozumu, a chód twój dumny. Oto jej słowa.

— Jestem z ciebie bardzo zadowolony, mój niewolniku, tak samo jak i z niej. Sądzisz więc, że odda mi serce i nie będę zmuszony zdobywać go siłą?

— Mężczyzna nigdy nie powinien zdobywać siłą miłości kobiety. Powinien być dla niej pobłażliwy i łagodny, a wtedy miłość zakwitnie sama jak roślina pod wpływem promieni słońca.

— Niewolniku, masz słuszość. Okażę jej wiele łaskawości.

— Czy wiesz, o władco, że miłość najpierw powinna się przyoblec w słowa, zanim przerodzi się w czyny? Niewolnica tęskni za chwilą, kiedy będzie mogła pomówić z tobą w twoim ojczystym języku. Chce powiedzieć ci sama, co czuje do ciebie.

— Niechaj życzeniu temu stanie się zadość. Mianuję cię jej nauczycielem. Kiedy będzie mogła mówić ze mną?

— To zależy od tego, kiedy rozpocznę naukę i ile godzin dziennie jej poświęcimy.

— Ta dziewczyna zawładnęła całym moim sercem. Nie mogę doczekać się, kiedy mi sama powie, że chce zostać moja żoną. Dlatego rozkazuję ci przystąpić do nauki już od dzisiaj.

— Będę posłuszny, o panie!

— Czy trzy godziny dziennie wystarczą, niewolniku?

— Jeżeli będę mówił z nią trzy godziny dziennie, za tydzień niewolnica powie ci, że doznasz szczęścia. Ale kobiety takie jak ona nie przywykły do widoku mężczyzn nieodzianych. W takim stroju jak mój...

— Zaraz dostaniesz inną odzież, znacznie lepszą, i nie powrócisz już do lochu. Otrzymasz też, ile chcesz mięsa, ryżu i wody.

— Dziękci ci, panie.

— Nie mam czasu asystować przy nauczaniu. Wyznaczę eunucha, który będzie was strzegł. Chodź ze mną, niewolniku!

— Czy mogę powiedzieć jej, co łaska twoja postanowiła?

— Powiedz.

Hrabia zwrócił się do Emmy:

— Niestety, muszę teraz odejść. Wkrótce pomówimy dłużej. Sultán pozwolił mi uczyć senioritę jego języka. Co dzień będziemy spędzali trzy godziny razem. Musimy być cierpliwi. I jeszcze jedno: jest szansa uratowania się. Miałem zamiar uciec stąd dzisiaj wieczorem. Może plan ten jeszcze się powiedzie.

Kiedy wyszli z komnaty, sultán polecił pierwszemu napotkanemu słuźącemu, by zdjął łańcuchy z nóg więźnia, dał mu porządną przyodziwek i pożywną strawę. Gdy hrabia przebrał się i posilił, sultán wezwał go do siebie, a potem zaprowadził do skarbcza i zamknął za nim drzwi. Don Fernando zastał Emmę na tym samym miejscu co przedtem, mocno zawoalowaną. Naprzeciw niej siedział czarny eunuch. Murzyn wiedział, że starzec jest niewolnikiem; podniósł się na jego widok i rzekł wyniośle:

— Masz być jej nauczycielem?

— Tak — przytaknął hrabia.

— Ale pozostanie pod welonem.

— Oczywiście.

— Nie masz prawa jej dotknąć.

— Ani mi to w głowie.

— I nie masz prawa mówić z nią nic złego o nas.

— Skąd będziesz wiedział, czy mówię coś dobrego czy złego? Nie rozumiesz przecież naszego języka.

— Wyczytam to z twojej miny.

Murzyn nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. Rozłożył obok niewolnicy koc i zwrócił się do hrabiego.

— Oto twoje miejsce. Tak rozkazał sultán. Siadaj i zaczynaj.

— Czy lekcja ma trwać trzy godziny? — zapytał hrabia.

— Tak.

— Jak to określisz?

— Za pomocą tego oto zegara.

Z fałdów swego ubrania wyciągnął piaskową klepsydrę. Don Fernando rozpoczął:

— A więc, droga Emmo, możemy mówić teraz z sobą przez trzy godziny. Murzyn nas nie rozumie i nikt nam nie będzie przeszkadzał. Musimy tylko pozorować lekcję. Dlatego od czasu do czasu wymienię jakiś wyraz w ich języku i będziesz go musiała powtórzyć. A teraz do rzeczy. Żyliście zatem przez osiemnaście lat na bezludnej wyspie?

— Tak. Gdy nas na nią wysadzono, była bezludna i pusta. Udało nam się jednak ją zalesić. Cały nasz wysiłek szedł w tym kierunku, by zdobyć drewno na budowę łódki czy tratwy.

— Ale co było przedtem?

Emma zaczęła opowiadać. To, czego się dowiedział, przejęło hrabiego do głębi i wyjaśniło mu wiele spraw. Dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, jakim łotrem był Cortejo, upewnił się, że Alfonso nie jest jego bratankiem, i wierzył, że to Mariano jest owym zamienionym chłopcem. Całą siłą woli opanowywał się, aby zachować całkowicie obojętną twarz. W pewnej chwili przerwał Emmie i powiedział kilka zdań w narzeczu sultána. Wytlumaczywszy ich znaczenie, kazał dziewczynie nauczyć się tych wyrażen na pamięć. Było to coś w rodzaju: „Jesteś wielkim władcą; jesteś rozkoszą kobiet; widok twój napełnia radością mą duszę; bądź litościwy, a pokocha cię me serce”.

Emma doszła w swej opowieści do chwili, w której wylądowali na wyspie.

— Gdzie ona leży? — zapytał hrabia.

— Nie mieliśmy pojęcia. Dopiero po upływie wielu lat udało się Sternauowi z obserwacji gwiazd i innych znaków, które nie są mi znane, ustalić, że jesteśmy na czterdziestym stopniu szerokości geograficznej, o jakieś sto dwadzieścia dwa stopnie na zachód od południka Ferro i o sto trzystaście stopni na południe od wyspy Stero, a do Wyspy Wielkanocnej — piętnaście stopni na południe i trzystaście na wschód i że moglibyśmy dotrzeć do niej, gdybyśmy mieli dosyć drzewa do zbudowania tratwy.

— Co za tragedia! Ratunek był tak blisko, a jednocześnie tak daleko!

— A zresztą, gdybyśmy nawet mieli budulec, brakowało nam narzędzi do jego obróbki. Dopiero z biegiem czasu udało się tak wyostrzyć odłamki raf koralowych, że mogły zastępować siekiery i noże. Obcinaliśmy dolne gałęzie krzaków, które rosły na wyspie, i w ten sposób wyhodowaliśmy je na drzewa.

— A czym się żywiliście?

— Najpierw korzeniami, owocami i jajami. Odkryliśmy również rodzaj muszli, których zawartość przypominała ostrygi. Później zaczęliśmy wyrabiać sieci i wędki, by łapać ryby. Nauczyliśmy się robić strzały i wiązać łuki, aby strzelać do ptactwa. Poznaliśmy na wyspie pewien rodzaj królików; stały się naszym przysmakiem.

— Przysmakiem? Przypuszczam, że Landola nie zostawił wam krzesiwa.

— Och, ogień zdobyliśmy bardzo szybko. Sternau zwiedził sporo krajów, których ludność krzesła go z dwóch kawałków drewna.

— A jak było z ubraniem?

— Zniszczyły się jeszcze na statku, odzież mężczyzn przegniła niemal zupełnie. Nauczyliśmy się więc wyprawiać i zszywać skórki królicze. Mieszkania mieliśmy bardzo prymitywne: lepianki z otworami zamiast okien. Kawalerowie jadali u małżeństw.

— U małżeństw? Ach, rozumiem — uśmiechnął się po chwili. — Niedźwiedzie Serce wziął za żonę Karię, córkę Miksteków. Indianie zawierają małżeństwa bez żadnych ceremonii. A to drugie małżeństwo?

Milczała przez chwilę. Gdyby hrabia mógł dojrzeć jej twarz pod welonem, zauważyłby, że się zaczerwieniła.

— Ach, panie hrabio — odezwała się wreszcie. — Niechże pan uświadomi sobie nasze położenie! Byliśmy samotni i zdani tylko na siebie. A kochaliśmy się tak bardzo, ja i Antonio. Postanowiliśmy zostać mężem i żoną. Reszta towarzyszy niedoli aprobowała naszą decyzję. Wierzyliśmy, że gdy tylko odzyskamy wolność, ksiądz pobłogosławi nasz związek. Czy zobaczę jeszcze kiedyś mego Antonia i pozostałych przyjaciół?

— Dlaczego więc ich opuściłaś?

— To było okropne! Groza mnie przejmuje, gdy o tym myślę.

Westchnęła głęboko, boleśnie. Choć okrywał ją welon i szeroka szata, don Fernando zauważył, że drży cała.

— Opowiadaj, Emmo! — prosił. — Mimo że ci ciężko, mimo że wspomnienia cię przerażają, musisz mi wszystko wyznać. To, co sam przeżyłem, jest z pewnością nie mniej okropne.

— Po wielu latach nasze drzewa wyrosły i zbudowaliśmy tratwę. Narzędzia, jak mówiłam, mieliśmy bardzo prymitywne, kosztowało to więc niemało trudu. Ale wreszcie tratwa była gotowa. Mogła pomieścić nas wszystkich i nasze zapasy. Zaopatrzyliśmy ją w ster, maszt i żagiel uszyty ze skórek króliczych. Postanowiliśmy przepłynąć na niej miejsce, które nawet w czasie pogody jest bardzo burzliwe. W nocy, poprzedzającej nasz wyjazd, zbudziło mnie jakieś wycie. Zaczęłam nasłuchiwać. Rozszalała się burza. Pomyślałam o zapasach, znajdujących się na niej, i postanowiłam

zobaczyć, czy też jest dobrze przycumowana do brzegu. Ponieważ mężczyźni dużo w dzień pracowali i musieli odpocząć, nie zbudziłam ich, tylko sama poszłam nad brzeg. Wzburzone fale miały tratwę na wszystkie strony. Linę cumowniczą upletliśmy ze skórek króliczych. Mogła łatwo pęknąć, bo są one bardzo nietrwałe. Wewnątrz leżała jeszcze jedna lina, chciałam więc ją wydobyć i użyć jako drugą cumę. Ledwie stanęłam na tratwie, olbrzymia fala zerwała linę. Po chwili łódź była już na wzburzonym morzu. Upadłam i straciłam przytomność. Nie pamiętam, co się potem działo, nie pamiętam, w jaki sposób przepłynęłam rafy koralowe.

— To łatwo wytłumaczyć. Morze było tak wzburzone, fale tak wysokie, że rafy już nie stanowiły przeszkody.

— Jak we śnie słyszałam ryk morza, uderzenia piorunów i widziałam błyskawice, rozdzierające ciemności nocy. Gdy oprzytomniałam, świeciło słońce. Deszcz ustał zupełnie, morze zaczęło się uspokajać. Dla mnie było najważniejsze, że powiat nie zatonął, że fale go nie zmyły. Jak tratwa zdołała wyjść cało z orkanu? Nie umiałam odpowiedzieć na to pytanie. Ale wyspa zniknęła. Wokół mnie była tylko woda. Co miałam robić? Płakałam i modliłam się na przemian aż do nadejścia nocy. Płakałam i modliłam się przez całą noc i przez następny dzień. Wreszcie, znużona przeżyciami, usnęłam. Gdy się obudziłam, straciłam zupełnie poczucie czasu. I dopiero wtedy pomyślałam o tym, o czym powinnam była pomyśleć przede wszystkim.

— O sterze i żaglach, prawda?

— Tak. Wydawało mi się, że burza rzuciła mnie na wschód, więc zaczęłam sterować ku zachodowi. Dopiero potem się przekonałam, że należało postąpić odwrotnie. Natężając wszystkie siły podciągnęłam żagiel. Chociaż nie miałam pojęcia, jak należy obchodzić się z łodzią, udało mi się ustawić go tak, by mogła płynąć na zachód. Dniami stałam przy sterze, nocami przywiązywałam go. Tak przeszło piętnaście dni i piętnaście nocy. Czy mam mówić, co przez ten czas wycierpiałam? To nie do opisania.

— Wyobrażam sobie, droga Emmo. Godne podziwu, że nie zginęłaś w tych warunkach i nie straciłaś zmysłów.

— Szesnastego dnia ujrzałam statek. Jego załoga również spostrzegła moją łupinę. Był to okręt holenderski, który płynął do Batawii. Wzięli mnie na pokład. Dowiedziałam się od kapitana, że jesteśmy między Karolinami, a dokładniej przy Wyspach Pala. Jego zdaniem burza gnała tratwę z niesłychaną szybkością w kierunku zachodnim. Nakarmiono mnie i napojono, a krawiec okrętowy uszył mi suknię. Kapitan pocieszył mnie, że w Batawii znajdę z pewnością pomoc. Gdyśmy płynęły przez Cieśninę Sunderską, napadł na nas jeden z chińskich okrętów korsarskich. Grasuje ich sporo w tamtych stronach. Piraci odnieśli zwycięstwo i wycięli w pień załogę. Tylko mnie oszczędzono. Dalej już pan wie, don Fernando. Kiedy przyплыnęliśmy na Cejlon, zostałam sprzedana. Emir odstąpił mnie sułtanowi Hararu. To wszystko.

— Drogie dziecko — rzekł hrabia łagodnie. — Bóg jest dobrotliwy, każde zło potrafi zmienić na dobro. Kto wie, czy wam wszystkim razem udałoby się dotrzeć do jakiejś wyspy? Pismo Święte mówi: „Z wiatrów czyni anioły, z płomieni swe sługi”. Burza zagnała cię na zachód. Znalazłaś mnie. Wierzę, że wszystko dobrze się skończy.

— Ach, gdyby miał pan rację! Wolę umrzeć, don Fernando, niż zostać żoną tego człowieka.

— Nie umrzesz i nie będziesz do niego należała. Dziś w nocy uciekniemy. Spotkałem w tutejszym więzieniu dzielnego człowieka, który pochodzi z Manresy, niedaleko Rodrigandy. Ten łotr Landola i jego sprzedał, ponieważ był niewygodny dla Gasparina Corteja. Mam wrażenie, że wszyscy mieliśmy być zgładzeni i tylko chciwość Landoli uratowała nam życie. Z Hiszpanem, który się nazywa Mindrello, postanowiliśmy uciec dzisiejszej nocy.

— W jaki sposób?

— Powiedziałbym ci chętnie, ale patrz, Murzyn wyciąga klepsydrę po raz drugi, piasek już się kończy.

— Nic jeszcze nie wiem o pańskim losie i przygodach.

— Opowiem ci wszystko, ale nie teraz. Mamy jeszcze do dyspozycji tylko kilka minut. Musimy powtórzyć zdania, których masz się dzisiaj nauczyć. Przyjdę wieczorem do ciebie. Gdyby coś mi przeszkodziło, zobaczymy się jutro, na lekcji.

Zaczął powtarzać z Emmą zdania, których się miała nauczyć na pamięć. Eunuch kiwał z zadowoleniem głową. Gdy upłynęły trzy godziny, podniósł się z godnością i rzekł rozkazującym tonem:

— Czas twój minął. Chodź ze mną!

Hrabia wstał z koca i podszedł ku wyjściu. Przy drzwiach spotkał sułtana.

— Na Allacha! Jesteście punktualni — powiedział władca Hararu, po czym zwracając się do eunucha, zapytał:

— Czy słyszałeś wszystko?

— Wszystko, panie — odparł piskliwym głosem.

— Czy mówił o mnie dobrze czy źle?

— Dobrze, nawet bardzo dobrze!

— Jesteś tego pewien?

— Najzupełniej. Przecież słyszałem na własne uszy. Sułtan skinął głową z zadowoleniem i spytał hrabiego:

— Czy się czegoś nauczyła?

— Tak.

— Czego? Czy mogę wiedzieć?

— Jeżeli taka twoja wola... Mówiłem z nią bardzo wiele o tobie. Zapytaj, za kogo cię uważa.

Sułtan zwrócił się do dziewczyny:

— Powiedz, kim jestem?

Hrabia skinął głową i Emma wypowiedziała w języku sułtana pierwsze wyuczone zdanie:

— Jesteś wielkim władcą. Sułtan uśmiechnął się szeroko.

— Czy umie jeszcze coś?

— Zapytaj, czy uważa, że jesteś uprzejmy.

— Czy sądzisz, że jakakolwiek kobieta mogłaby mnie nienawidzić lub mi się oprzeć?

— Jesteś rozkoszą kobiet — brzmiała odpowiedź.

— Zapytaj, czy czuje tę rozkosz — rzekł don Fernando.

— Widok twój koi mą duszę — wyrecytowała Emma. Sułtan był zachwycony rezultatem pierwszej lekcji.

Poklepał jeńca po ramieniu, co mu się nigdy dotąd nie zdarzyło, i powiedział protekcyjnym tonem:

— Jesteś najlepszym nauczycielem, jakiego można sobie wyobrazić. Niewolnica dziś jeszcze zostanie moją żoną, ty zaś będziesz nagrodzony nie jak niewolnik, lecz jak człowiek wolny.

— Dzięki ci, ale nie spiesz się zbyt. Pomyśl o tym, że serce jej jest jeszcze przy tych, z którymi wyrosła i żyła, i że dopiero dziś stała się twoją własnością. Bądź jeszcze przez kilka dni cierpliwy. Im więcej będziesz okazywać przyjaźni i serdeczności, tym łatwiej zdobędziesz jej serce. Zapytaj sam, a przekonasz się, że przyzna mi rację. Sułtan zwrócił się znowu do Emmy:

— Czy to prawda, że prosisz o zwłokę?

. — Bądź litościwy, a serce moje cię pokocha — brzmiało ostatnie wyuczone zdanie.

— Kocha mnie, chce mnie kochać! — zawołał sułtan. — Uczynię to, o co mnie prosi. Ty zaś będziesz mieszkał w drugim pałacu. Nie wolno ci go opuszczać, musisz być stale do mojej dyspozycji.

Określenia „pałac” nie należało brać dosłownie. Była to po prostu oficyna głównego budynku, a w pokoju przeznaczonym dla don Fernanda stała otomana i nic więcej. Sułtan był dziś przyjaźnie usposobiony do jeńca, tak srogo ukaranego wczoraj. Hrabia przekonał się o tym, gdy przyniesiono mu fajkę i porcję tytoniu. Palenie sprawiło mu niewysławioną rozkosz; wszak był tego pozbawiony przez wiele lat. Wyszedł przed dom i przysiadł na progu.

Jakże zmieniła się od wczoraj sytuacja. Miał nadzieję, że wszystko skończy się dobrze i ucieczka się uda. Wnet utwierdził się w tym przekonaniu. Ledwie zaczęło zmierzchać, sprowadzono z pastwiska cztery wielbłądy i umieszczono je w szopie wraz z uprzężą.

— Dlaczego wielbłądy nie zostają na pastwisku? — zapytał don Fernando człowieka, który je przyprowadził.

— Taki jest rozkaz sułtana. Jutro rano wyjeżdża ze swoją najstarszą żoną do jej ojca, u którego ma ona zostać jakiś czas. Kazano mi przygotować dwa siodła męskie, lektkę damską i siodło do ładowania ciężarów.

Sułtan, jak widać, usuwał pierwszą żonę, pragnąc cały swój czas poświęcić nowej niewolnicy. Hrabia był uszczęśliwiony! Dwa siodła to przecież w sam raz dla niego i Mindrella, lektka dla Emmy, na czwartym zwierzęciu można będzie ulokować rzeczy potrzebne do drogi.

— Czy mogę ci pomóc? — zapytał wielbłądnika.

— Dobrze! Jestem zmęczony i chciałbym się prędko położyć.

Hrabia nakarmił i napoił wielbłądy, a potem zaproponował poganiaczowi, że będzie spać przy nich, aby się ulubieńcom sułtana nic złego nie przytrafiło. Fajka, napełniona tytoniem, była nagrodą za tę przysługę.

Tymczasem Mindrello siedział samotnie w swej celi i z utęsknieniem wyczekiwał zmroku. Gdy wieczór według jego obliczeń nastąpił, odsunął kamień, który przysłaniał otwór prowadzący do lochu hrabiego.

— Don Fernando! — zawołał półgłosem. Nie było odpowiedzi.

— Don Fernando! — powtórzył. Znowu milczenie.

— Panie hrabio! Senior, don Fernando! Nikt się nie odzywał.

— Co to znaczy, na Boga! — przeraził się Hiszpan. — Czy mu się coś stało? Czy go wyciągnięto z lochu? Tak czy owak byłoby to dla nas obu nieszczęście. Muszę przedostać się do jego celi!

Wyciągnął jeszcze jeden kamień ze ściany i zszedł do lochu. Hrabiego nie było, na ziemi leżały jedynie pozabijane szczury. Pełen niepokoju i rozpaczony, wrócił do swojej nory i czekał. Ale nie mógł usiedzieć na miejscu. Wdrapał się ku wyjściu i ukryty za kamieniem — sam nie mógł go usunąć — zaczął nasłuchiwać. Panowała jednak głucha cisza.

Czekał w trwodze i zgrzozie. Tracił już nadzieję, gdy nagle usłyszał jakieś szmery. Ktoś chodził koło głazu. Kto to może być? Kat czy hrabia? Po chwili zapukano kilkakrotnie w kamień, po czym ktoś spytał szeptem:

— Mindrello, czy to ty?

— Tak, to ja, senior.

— Pomóż mi odsunąć kamień, sam nie poradzę. Wspólnym wysiłkiem odsunęli kamień i Mindrello wydostał się na zewnątrz.

— O Dios, co się strachu najadłem! Zaglądałem do pańskiej celi, don Fernando, ale nie



znalazłem tam pana. Gdzie pan przepadł?

— Wezwano mnie do sułtana. Przeżyłem wiele, mój drogi. Opowiem ci to później.

Dla odwrócenia podejrzeń umieścili kamień *na* dawnym miejscu, po czym udali się w kierunku pałacu. Przy bramie stał sztyldwach. Otaczały ich egipskie ciemności. Podczołgali się do wartownika. Hrabia błyskawicznie chwycił go za gardło tak mocno, że ten nie mógł odetchnąć i otworzył usta. W jednej chwili zakneblowali mu je, a później całego skrępowali i niby kukłę zanieśli do szopy, w której czekały wielbłądy, osiodłane już przedtem przez hrabiego.

Droga stała przed nimi otworem. Po cichu dostali się do przedsionka sali przyjęć. Hrabia zdjął nóż ze ściany, chciał bowiem na wszelki wypadek mieć broń przy sobie. Gdy odsunął parawan zastępujący drzwi, stwierdził, że sypialnia sułtana jest pusta.

— Jeszcze nie śpi — szepnął. — Znajdziemy go chyba u niewolnicy, która mieszka w skarbcu, tu niedaleko — pokazał ręką.

— Więc tam jest skarbiec? Do diabła, wygodne urządzenie!

— Byłem w nim dzisiaj przez trzy godziny. Wszystko pójdzie dobrze. Chodźmy!

Podeszli do drzwi. Przez szparę wydostawała się jasna smuga światła, mogli więc wyraźnie zobaczyć wnętrze komnaty.

Emma spoczywała na kanapie, w pewnej odległości siedział zapatrzonej w nią sułtan.

Hrabia szepnął do Mindrella:

— Sułtan odwrócony jest do nas plecami. Sprawdziłem dziś, że te drzwi otwierają się bez szmeru. Chodzi tylko o to, aby Emma nie zdradziła się, że przyszliśmy, a sułtan nie miał czasu na przywołanie pomocy lub na opór. Wejść pierwszy i dam jej znak.

Uchylił nieco drzwi i wszedł do środka. Emma już od dawna czekała na hrabiego, toteż jego widok nie zaskoczył jej. Udając, że go nie widzi, patrzyła prosto w oczy sułtana.

Należało działać błyskawicznie. Hrabia w dwóch susach znalazł się przy sułtanie i chwycił go za gardło. Mindrello wpakował mu w usta skraj jego szaty. Zaopatrzyli się zawczasu w sznury, więc z wiązaniem nie było kłopotu. Później rzucili władcę na łożo, z którego Meksykanka zdążyła już wstać.

— Nareszcie! — westchnęła z ulgą. — Zaczęłam tracić nadzieję.

Hrabia nie odpowiedział. Podeszedł do drzwi i zamknął je szczelnie, by żaden promień światła nie mógł się przedostać na zewnątrz. Potem zaczął się przyglądać sułtanowi. Nie stracił on przytomności i rzucał wkoło wściekłe, ponure spojrzenia. Fernando de Rodriganda nachylił się nad nim i rzekł półgłosem:

— Pamiętaj, jeżeli się poruszysz, wpakuję ci nóż w serce!

Obszukał jeńca i zabrał mu klucz do otwierania i zamykania kajdan,

— Dla ciebie — zwrócił się po chwili do Emmy — przygotowana jest lektyka. Mimo to będziesz musiała włożyć strój męski, aby zmylić naszych ewentualnych prześladowców. I nam przydadzą się porządne ubrania, abyśmy wyglądali na bogatych podróżnych. Na ścianach wszystkiego tu pod dostatkiem. Wybierzemy, *co* nam potrzeba.

Gdy don Fernando i Mindrello przebrali się, hrabia przeciągnął sznur od jednej ściany do drugiej i powiesił na nim kilka arabskich płaszczy. Za tym parawanem mogła się przebrać dziewczyna.

W ciągu dziesięciu minut byli gotowi. Mieli ubrania strojne i bogate. Nie ulegało wątpliwości, że wzbudzą w Somalijszykach respekt.

— A teraz broń — przypomniał hrabia.

— Wiem, gdzie ona jest — zawołała Emma. — Sułtan przyniósł tu dwa rewolwery, dwie dwururki i amunicję. Włożył wszystko do tej oto skrzyni.

Otworzyli ją i wyjęli broń. Hrabia wyciągnął jeszcze kilka sztuk odzieży oraz trzy szable z

wykładanymi rękojęściami wysokiej wartości.

— A teraz — powiedział — spenetrujemy pozostałe skrzynie i paki. Chciałbym zabrać trochę pieniędzy.

— Wiem, gdzie są. Pokazywał mi swoje skarby. — Czy ma złoto?

— Tak. Jedna ze skrzyń, o ta, jest nim napełniona.

— A srebro?

— Leży w trzech skrzyniach, które stoją obok tamtej. A w tej — wskazała ręką — są klejnoty i inne drogocенności.

— Tym lepiej. Być może, będziemy musieli wynająć lub kupić jakiś statek, aby dotrzeć do wyspy naszych przyjaciół. Trzeba nam dużo pieniędzy.

Srebro, które znaleźli, to przede wszystkim talary Marii Teresy, złoto zaś — hiszpańskie dublony, gwineje angielskie i francuskie ludwiki. Klejnoty miały wartość milionów. Zajmowały w stosunku do swej wartości najmniej miejsca. Wzięli je wszystkie. Talarów za to tyle, ile trzeba było na drogę, szczepy bowiem, które mogli spotkać, nie przyjmowały innej zapłaty. Złoto również zabrali. Mieli dosyć worków, aby wszystko w nie spakować. Dołożyli jeszcze kilka wspaniałych koców i dywanów oraz przepiękne fajki i tytoń. Obaj mężczyźni wyszli z pałacu i zaczęli ładować zdobycz na wielbłądy. Trwało to długo, musieli bowiem zachowywać się jak najciszej. Trochę czasu zajęło im również zdobycie skórzanych worów na wodę i żywność. Dopiero około północy przyszedł po Emmę, która pilnowała sułtana.

— Wiele bym dał za to, aby się dowiedzieć, co myśli o tym wszystkim władca Hararu — powiedział don Fernando. — Pewnie pęka ze złości. Biada nam, jeśli nas schwyta!

— Nie sądzi pan chyba, aby mógł to zrobić? — zaniepokoiła się Emma.

— Nie bój się, drogie dziecko. Mamy przecież najlepsze wielbłądy i około wieczora przekroczymy granice tego kraju. Ponieważ jednak nie jest wykluczone, że Somalijscy zechcą mu nas wydać, weźmiemy obrońcę — abbana. Czy wiecie, gdzie znajdziemy najlepszego, najwierniejszego, najofiarniejszego abbana?

— Gdzie?

— W tutejszym więzieniu.

— W jaki sposób może nas obronić?

— Jako jeniec nie, ale gdy go uwolnimy, wdzięczność jego będzie bezgraniczna.

— Czy mamy na to czas?

— Uwolnienie abbana nie zajmie więcej niż pół godziny. Po to wzięłem klucz do kajdan. Chodź, Mindrello! A seniora niechaj jeszcze tu zostanie.

Hrabia odszedł wraz z Hiszpanem. Jak wszyscy mieszkańcy Hararu nosili miękkie pantofle, zabrane sułtanowi, poruszali się więc zupełnie cicho. Bez najmniejszego szmeru podeszli pod bramę więzienia. Wartownik siedział zatopiony w rozmyślaniach.

— Zakneblujemy go i zwiążemy jak tamtych — szepnął hrabia.

— Czym? Czy ma pan powrozy?

— Nie, ale mamy noże i będziemy mogli pociąć na pasy jego ubranie.

— Zrobię to, niech pan tylko przytrzyma strażnika.

— Doskonale. Więc naprzód.

W kilka sekund później znaleźli przy wartowniku. Ledwie zdążył jęknąć, już leżał związany na ziemi, z kneblem w ustach. Drzwi więzienia nie były zaopatrzone w zamek, a tylko zamknięte na dwa rygle. Gdy je hrabia otworzył, uderzyła go fala straszliwego fetoru. Jeńcy zbudzili się, rozległ się dźwięk ich łańcuchów.

— Zostań tu, aby nas nie zaskoczono — polecił hrabia Mindrellowi, po czym wszedł do więzienia i zamknął drzwi za sobą. W celi panowała cisza wyczekiwania. Jeńcy wiedzieli, znając okrucieństwo sułtana, że wejście kogokolwiek może być dla każdego z nich równoznaczne z wyrokiem śmierci.

— Czy jest tu wśród was wolny Somalijczyk? — zapytał don Fernando.

— Jest — odpowiedziały dwa głosy.

— Aż dwóch! Do jakiego szczepu należycie?

— Do szczepu Zareb, jestem tu z synem.

— Dobrze. Pójdziecie za mną. Im bardziej będziecie posłuszni, tym lepiej dla was. Przyniesie to wam wolność.

Wyciągnął klucz do kajdan i podszedł do tego, który powiedział, że jest ojcem. Jednak więzów, krępujących ręce i nogi jeńca, nie zdjął.

— Gdzie drugi?

Gdy się tamten zbliżył, hrabia oswobodził go z kajdan, którymi był przykuty do ściany.

— Wychodźcie teraz! — rozkazał.

Gdy upewnił się, że więźniowie nie będą mogli słyszeć ich rozmowy, rzekł:

— Mówcie jak najciszej. Dlaczego zostaliście schwytani?

— Żyliśmy w pokoju — odpowiedział starszy — ale sułtan napadł na nas, ponieważ ktoś z naszego szczepu ukradł mu konia.

— Jak długo już przebywacie w niewoli?

— Dwa lata.

— To straszne! I chcecie być znowu wolni?

— Jak można o to pytać nas, Somalijczyków? A ty kim jesteś, tajemniczy panie?

— Towarzysz mój i ja byliśmy dotychczas jeńcami tak samo jak wy, ale wyprowadziliśmy sułtana w pole i chcemy zbiec. Szukamy najkrótszej drogi do morza, potrzebujemy przewodnika. Na wybrzeżu otrzymamy złoto, nie ominie was zapłata. Jeżeli jeden z was chce być naszym przewodnikiem i obrońcą, uwolnimy go z więzów i zabierzemy z sobą. Odpowiadajcie szybko, nie mam czasu.

— Panie, weź nas obu — zawołali błagalnie.

— Dobrze. Czy przysięgacie, że będziecie mnie i tych, którzy są ze mną, ochraniać przed wrogami, a także przed waszymi ludźmi?

— Przysięgamy.

— Przysięgacie na Allacha i na brodę Mahometa?

— Tak, na Allacha, na brodę Mahometa i na świętych kalifów!

Po tej przysiędze, której nie odważyłby się złamać żaden pobożny mahometanin, zwolniono ich z więzów. Poszli z Mindrellem do szopy, w której stały wielbłądy, don Fernando wrócił do Emmy. Ucieszyła się i uspokoiła na jego widok. Upięła włosy do góry, a hrabia zrobił jej z delikatnego wschodnioindyjskiego welonu turban na głowę, aby mogła uchodzić za chłopca. Don Fernando wziął jeszcze dwie strzelby, proch, ołów, ubrania, noże i jatagany dla Somalijczyków. W sypialni sułtana znalazł klucze do bram, których Harar miał pięć. Przy każdym wisiała numerowana płytką metalowa, dobrać więc odpowiedni nie było trudno. Gdy się zbliżyli do szopy, zastali przewodników i Mindrella czekających z niecierpliwością.

— Oto odzież, proch, broń i ołów — rzekł hrabia. — Ubierajcie się szybko. Dywany przeznaczaliśmy dla waszych wielbłądów, które zabierzemy z pastwiska. Musimy się śpieszyć!

— Panie — powiedział starszy Somalijczyk — nie wiemy, kim jesteś, ale możesz rozporządzać

naszym życiem, należy ono do ciebie. Znamy wszystkie drogi i zaprowadzimy was aż do morza. Nie obawiaj się prześladowców, nie dościgną nas. Nie chcemy od ciebie zapłaty, dajesz nam przecież wolność, która jest więcej warta niż srebro i złoto.

— Mówisz jak człowiek, który umie ocenić przysługę. Nie zapłacę, ale dam wam podarek godny twoich słów.

A teraz w drogę. Oto wielbłądy; trzy będą nas niosły, czwarty poniesie towary. Młody mój towarzysz nie jest wprawdzie kobietą, ale skoro mamy lektykę, niechaj w niej spocznie. Wyjeżdżamy przez bramę, która prowadzi do Gaffy. Będziecie szli obok nas, jak gdybyście byli naszymi służącymi. Przy bramie będę udawał sułtana. Oto klucz. Otworzysz bramę i zamkniesz ją później. To wszystko. Naprzód!

Dosiedli wielbłądów i rozpoczęła się podróż. Dotarli do bramy. Strażnik spał. Somalijszyk zaczął otwierać bramę, zgrzyt klucza zbudził śpiącego. Podbiegł szybko ze sztabą, oznaką swojej godności. Ponieważ nie miał czasu na zapalenie światła, nie mógł rozpoznać jeźdźców.

— Kim jesteście?! — zawołał. — Hola! Wstrzymajcie się! Bez zezwolenia sułtana nie wolno nikomu opuścić miasta. Zabraniam otwierać!

— Jak śmiesz, psie! — krzyknął hrabia, naśladowując głos sułtana. — Czy nie wiesz, że jadę do ojca mojej żony? A może nie znasz swego władcy? Jutro będziesz ziemię gryzł, ty synu szakala!

Strażnik padł na ziemię, nie odważywszy się wykrztusić słowa. Zbiegowie przeszli przez bramę.

Z daleka ujrzeli światła wart karawany handlowej, która jeszcze nie załatwiła wszystkich interesów w Hararze. Hrabia jechał jakiś czas na przodzie, wreszcie zatrzymał się i zsiadł z wielbłąda.

— Chodźcie! Tu niedaleko pasą się wielbłądy sułtana, obok zaś stoi szopa, w której leżą siodła i wory. Spróbujemy wyprowadzić w pole dozorców i zabrać im dwa najlepsze.

Gdy doszli do pastwiska, stwierdzili, że nie ma na nim żadnej ludzkiej istoty.

— Gdzież się podziali? — zdziwił się jeden z Somalijszyków.

— Chyba przystali do karawany — odpowiedział hrabia. — Ułatwiają nam wykonanie planu. Wybierzcie wielbłądy, ja zaś zabiorę z szopy dwa siodła.

Nie minął kwadrans, a Somalijszyki mieli już dwa dobre wielbłądy i całą karawanę, składającą się z sześciu zwierząt, ruszyła. Emma nie spodziewała się wczoraj, gdy wjeżdżała do miasta, że opuści je już następnego dnia, przebrana za Turczynę i wolna.

# KAPITAN WAGNER

Mniej więcej w tydzień po wspomnianych wydarzeniach przez cieśninę Babel-Mandeb płynął bryg. Zbudowany był bardzo okazale, z masztu powiewała niemiecka flaga handlowa. Nie tylko to wskazywało, że nie jest to okręt wojenny a handlowy, mimo iż na pokładzie stały cztery armaty, nadające mu wojowniczy wygląd. Armaty umieszczono dlatego, że w owych czasach morza nie były bezpieczne. Szczególnie dobrze uzbrojony musiał być każdy, kto prowadził handel z wyspami. Stykał się bowiem z ludźmi, którzy korzystali z każdej okazji, aby podstępem opanować statek i zawładnąć ładunkiem.

Słońce prażyło. Mimo lekkiego wietrzyka upał tak się dawał we znaki, że załoga leżała pod rozpiętymi żaglami, a sternik kierował statkiem, siedząc w cieniu dywanu rozwieszonego na sznurach. Kapitanowi również było za gorąco w kajucie. Wyszedł na pokład, spojrzął na niebo i podszedł do sternika. Ten chciał wstać, jak wymagały przepisy, ale kapitan wskazał mu ruchem ręki, aby się nie trudził i usiadł obok niego.

— Diabelski upał! — rzekł lakonicznie.

— Rzeczywiście — przytaknęła sternik.

— Lubię Północ, a tymczasem naszemu szefowi wpadła myśl wysłania nas w te strony. Ciekaw jestem, czy zrobimy tu dobre interesy, jak on sobie wyobraża.

— Tłumacz tak przypuszcza.

— To mnie właśnie irytuje, że potrzebny jest tłumacz. Gdyby ktoś z nas znał ten przeklęty język arabski, nie musielibyśmy obawiać się, że ktoś nas oszuka. Ale patrzcie, ktoś płynie ku nam. Kto to może być?

Statek zmierzał na południe i tam właśnie ukazał się punkcik. Sternik podniósł lunetę i patrzył przez nią uważnie.

— Czegoś podobnego nie widziałem jeszcze nigdy w życiu — powiedział po chwili. — Niech pan spojrzy, kapitanie.

Kapitan wziął lunetę. Kiedy odejmował ją od oczu, rzekł z pogardliwym uśmiechem:

— To okręt arabski. Za godzinę dopłyniemy do niego

Marynarze zauważyli również obcą jednostkę i obserwowali ją uważnie. Oba statki zbliżały się do siebie coraz bardziej. Wkrótce można było dojrzeć z brygu nawet gołym okiem, że statek ma tylko jeden krzywo umocowany maszt, na którym rozwieszono dwa dziwne żagle. Na pokładzie stali ludzie w turbanach i przyglądali się brygowi.

— Czy mam nabić? — zapytał sternik.

— Tak. I przyślijcie mi tłumacza.

Sternik podszedł do jednej z armat i skinął na odzianego w arabski strój człowieka, który siedział na dziobie i palił długą fajkę. Podniósł się wolno i poszedł w kierunku steru. Rzucił okiem na statek i zapytał kapitana:

— Chcecie z nim mówić?

— Jeżeli to możliwe, tak.

— Czego się chcecie od niego dowiedzieć?

— Przede wszystkim, co to za statek?

— Na to i ja potrafię odpowiedzieć. To statek straży przybrzeżnej emira Zejli.

— A więc coś w rodzaju okrętu wojennego?

— Tak. Cała załoga jest pod bronią. Musiało zajść coś ważnego, skoro go tu spotkaliśmy.

— Trzeba się dowiedzieć, przecież płyniemy właśnie do Zejli. Będiesz dokładnie tłumaczyć

pytania i odpowiedzi.

Statki zbliżyły się do siebie tak, że można już było rozpoznać rysy twarzy ludzi. Sternik szykował się właśnie do wystrzału armatniego, aby „arab” opuścił żagle, gdy naraz padła z niego salwa karabinowa. To on żądał, by bryg opuścił żagle. Kapitan roześmiał się głośno. Bawiło go, że taka łupina zachowuje się jak prawdziwy okręt wojenny.

— Słyszeliście? — zawołał do sternika. — Komar wydaje nam rozkazy! Okażmy mu jednak posłuszeństwo. Ciekaw jestem, czego od nas zażąda. Opuszczajcie żagle, chłopcy!

Rozkaz spełniono. Bryg nie płynął już z wiatrem, tylko zatoczył łuk. Statek arabski wykonał taki sam manewr i znalazł się tuż u jego burty. Na pokładzie stało około piętnastu uzbrojonych Arabów. Dowódca zapytał donośnym głosem:

— Jak się nazywa wasz statek?

— „Syrena” — powtórzył tłumacz za kapitanem.

— Skąd płynie?

— Z Kilonii.

— Gdzie to jest?

— W Niemczech.

— Musi to być mały, nędzny kraj. Nie znam go — rzekł Arab wyniośle. — Co macie na pokładzie?

— Towary.

— A pasażerów?

— Nie.

— Nie wieciecie zbiegłych niewolników?

— Nie.

— Przyjdę na wasz statek, by się przekonać, że mówicie prawdę.

Tego było już kapitanowi za wiele. Kazał zapytać:

— Kim jesteś?

— Kapitanem sułtana z Zejli.

— W Zejli rządy sprawuje emir, a nie sułtan. Nie będą słuchać ani jego, ani jego sługi.

— A więc sprzeciwiasz się przeszukaniu statku?

— Sprzeciwiam się, nie masz bowiem do tego prawa. Raczej mnie ono przysługuje. To ty musiałbyś się zgodzić, gdybym chciał wejść na twój okręt.

— Nie pozwoliłbym na to, jestem wojownikiem. Zmuszę cię, abys wpuścił na pokład mnie i moich ludzi.

— Dlaczego budzę w tobie podejrzenia?

— Szukamy jeńców, którzy uciekli z Hararu. Twój opór już starczy za dowód, że zbiegowie ukryli się na „Syrenie”.

— Nie ma ich tutaj. Jakim zresztą sposobem mogliby się tu dostać? Przybywam z Północy i nie byłem jeszcze na waszym wybrzeżu.

— Nie wierzę ci. Przymocuję twój statek do swego za pomocą liny i dostawię do Zejli. Niech go przeszuka gubernator.

Była to jawną groźba.

— Mam wrażenie — powiedział kapitan — że Bóg ci pomieszał rozum. Chcesz mnie zmusić, abym przyjął twoją liny na pokład? Śmieję się z tego.

— Śmieję się, śmieję. Śmiech ten zmieni się wkrótce w płacz. Rozkazuję ci, byś wpuścił moich ludzi, którzy przyniosą liny.

Kapitan zaczął się namyślać. Jak każdy europejski marynarz był amatorem dobrych konceptów. Teraz nadarza się po temu sposobność. Dlatego rzekł po chwili:

— Dobrze, zgadzam się, aby twoi ludzie weszli na pokład i wzięli mój okręt na linę.

Na rozkaz przywódcy trzech Arabów wsiadło do szalupy. Po chwili dotarli do brygu i umocowali linę na dziobie. Zachowywali się przy tym bardzo buńczucznie.

— A to półgłówki! — zaśmiał się sternik, kiedy dali sygnał, że ich statek może ruszać. — Przecież ta lina za słaba, aby nas mogli ciągnąć na niej! Pęknie, ani chybi.

— Oczywiście — potwierdził kapitan. — Ale jest wystarczająco silna, abyśmy my mogli ich ciągnąć.

Statek arabski zwrócił się na południe. Wiatr zaczął dąć. Lina napięła się mocno; w każdej chwili można się było spodziewać, że pęknie. Kapitan brygu rozkazał:

— Hola, podnieść żagle! Musimy im pomóc.

W kilka minut później bryg płynął już pełną szybkością, znacznie szybciej niż statek arabski, musiał więc na niego najechać. Niemiec zwrócił się przez tłumacza do obecnych na pokładzie trzech Arabów:

— Powiedzcie swoim, aby prędko żeglowali, bo inaczej ich potopię!

Pokiwali przecząco głowami. Nie mieli odwagi przekazać tego przywódcy. On tymczasem, widząc grożące niebezpieczeństwo, zawołał:

— Płyńcie wolniej, łotry! Czy chcecie nas rozwalić?!

— Płyn sam szybciej, ośle! — krzyknął kapitan. — Nie zabieraj się do statków, których nie masz siły ciągnąć!

Jeszcze kilka chwil, a na pewno nastąpiłoby zderzenie. Kapitan sam ujął ster w ręce, by zmienić nieco kierunek.

— Nie staranuję ich, ale dam im dobrą nauczkę — powiedział do swoich. — Hola, chłopcy, uwaga!

Bryg otarł się o statek arabski, który miał bardzo niski pokład. Uderzenie było silne. Arabowie poczuli przedsmak tego, co ich może czekać. Prawa burta brygu ocierała się mocno o lewą statku arabskiego i zdierała mu liny. Wkrótce bryg wyprzedził przeciwnika. Lina napięła się mocno i zaczęła go wlec za sobą. Arabowie nie mogli opanować sytuacji. Ich żaglowiec wykręcił się i płynął rufą do przodu.

Na pokładzie „Syreny” rozległ się śmiech, na pokładzie „araba” ryk wściekłości, bo miał pozrywane żagle, a liny porwane w strzępy; w każdej chwili groziło mu zatonięcie. Dowódca kłął i wrzeszczał, jego ludzie zawodzili rozpaczliwie. Zamiast odciąć linę, na której byli przywiązani do brygu, i oswobodzić się, znów dali salwę karabinową, która jednak żadnej szkody nie wyrządziła Niemcom.

Do kapitana „Syreny” podszedł jeden z trzech Arabów i kazał powiedzieć przez tłumacza:

— Rozkazuję ci zatrzymać się i naprawić nasz statek! Co za szczyt bezczelności — pomyślał kapitan i odparł chłodno:

— Nie masz mi nic do rozkazywania! Arab wyciągnął nóż.

— Jeżeli w tej chwili nie usłuchasz, dam ci nauczkę. Czy jesteś muzułmaninem?

— Nie, jestem chrześcijaninem.

— Musisz więc mnie słuchać, psie!

— Co takiego?! Psie? Oto moja odpowiedź!

Wymierzył Arabowi tak silny policzek, że tamten padł, wywracając koziółka. Jego towarzysze z nożami w ręku chcieli rzucić się na kapitana, ale uprzedził ich. Potężną, twardą jak stal pięścią

uderzył każdego tak skutecznie, że runęli na pokład niezdolni do dalszej walki.

— Chłopczy, przywiążcie tych łotrów do masztu! — rozkazał kapitan. — Nauczymy ich, co to znaczy obrażać kapitana-Europejczyka!

Rozkaz wykonany został szybko i chętnie. Marynarze zabrali Arabom broń i przywiązali ich tak mocno, że nie mogli się ruszyć.

Tymczasem położenie statku arabskiego stawało się coraz groźniejsze. Bryg włókł go za sobą. Ponieważ pokład był niski, Arabów zaczęła zalewać woda.

— Zatrzymajcie się, łotry! — krzyknął przywódca.

— Czy nie widzicie, że utoniemy, jeżeli nas nie usłuchacie?

— Mnie jest to obojętne, czy zatonicie czy nie. Przetnijcie linę, jeżeli się chcecie ratować.

— Nie wolno mi tego uczynić. Lina należy do emira.

— W takim razie pijcie morską wodę za jego pomyślność.

— Przecież my możemy przeciąć linę — odezwał się sternik.

— Ani mi to w głowie! — kapitan był nieugięty.

— Dałem im nauczkę i palcem nie kiwnę, aby ich ratować. Pierwszy raz jestem w tych stronach, ale wiele słyszałem o ich mieszkańcach. To niewolnicy i lokaje, pacholki drobnych władców i urzędników, a wyobrażają sobie, że są Bóg wie kim. Każdego, kto inaczej myśli aniżeli oni, uważają za psa nieczystego. Nie znam ich języka, nie znam zwyczajów, ale oni muszą poznać moje.

— Płyniemy przecież do Zejli i z pewnością spotkamy się z emirem. Będzie się mścił.

— Niech spróbuje!

W tej samej chwili przeszył powietrze głośny krzyk. Statek arabski przechylił się tak mocno, że omal nie pochłonęła go głębina. Woda już wdarła się na pokład.

— Czy naprawdę jesteście takimi głupcami? Dlaczego nie przetniecie liny? — pytał kapitan.

Nic to nie pomogło. Statek tonął. Załogę ogarnęła panika. Zaczęto skakać do wody i płynąć w kierunku brygu.

— Rzućcie im sznury, niech się po nich wdrapują! — rozkazał kapitan. — Zaczęli komedię, niech więc grają ją do końca. Umieście ich na przednim pokładzie i skierujcie na nich działa.

Gdy wszyscy Arabowie znaleźli się na pokładzie, tłumacz polecił im zająć miejsce na przodzie. Usłuchali z wyjątkiem dowódcy, który podszedł do kapitana i zapytał:

— Czy jesteś komendantem tego statku?

— Tak.

— W takim razie uważam cię za mojego jeńca. Gdy przybędziemy do Zejli, ukarzę cię surowo.

Kapitan popatrzył szyderczo w ciemną, chudą twarz Araba i rzekł:

— Nie bądź śmieszny! Płynę wprawdzie do Zejli, lecz ochrania mnie bandera i nie poniosę żadnych konsekwencji.

— Ach, płyniesz do Zejli? Odpowiesz nam za to, co się stało. Lecz najpierw musisz uratować mój statek.

— Widzę, że jesteś niepoprawny. Będę musiał ci dowieść, że robię to, co mi się podoba. Może okręt twój da się uratować, ale niebezpieczeństwo grozi mojemu, dopóki będzie sprzęgnięty z twoim. Muszę więc przede wszystkim dbać o własny interes.

Ujął siekiere i przeciął linę, pozostawiając statek arabski własnemu losowi. Arab krzyknął z pianą na ustach:

— Jak śmiesz, psie? Poświęcasz mój okręt! Gdybym miał przy sobie strzelbę, zabiłbym cię jak szakala. Mój nóż pokaże ci, kto tu jest panem!

Wyciągnął nóż zza pasa, ale w tejże chwili kapitan powalił go na ziemię potężnym uderzeniem



pięści. Gdy to ujrzeli Arabowie, chcieli przyjść z pomocą przywódcy, lecz tłumacz zawołał do nich:

— Na proroka, bądźcie spokojni, inaczej zginiecie od armat, które są na was skierowane. Ten człowiek jest panem statku. Każdy jego rozkaz jest święty. Życie wasze leży w jego ręku.

Dopiero teraz zrozumieli swe położenie i zrezygnowali z wszelkiego oporu. Zabrawszy im broń, wpakowano ich pod pokład razem z trzema towarzyszami, którzy dotychczas przywiązani byli do masztu. Pilnował ich jeden marynarz.

— Masz diabelską odwagę — tłumacz zwrócił się do kapitana. — Emir naprawdę pociągnie cię do odpowiedzialności.

— Mylisz się. To ja pociągnę go do odpowiedzialności za to, że sługi jego działały wbrew prawu i obrażyły mnie.

— Gdyby cię nawet nie ukarał i tak poniesiesz wielkie straty. Zabroni ci handlować i sprzedawać towary.

— Zobaczymy. Jeśli się na to poważy, znajdę sposób, by sobie je powetować.

Zejla leżała nad niskim brzegiem. Nie miała portu, statki i okręty musiały przybijać do pomostu. Z powodu skalistego wybrzeża zacumowanie nie było rzeczą łatwą. Bryg przybył tam nocą. Na zakotwiczenie czekał do rana.

Wtedy to dopiero przywitał miasto strzałami armatnimi.

Widziane z morza, nie robiło imponującego wrażenia. Wręcz odwrotnie. Liczyło cztery tysiące mieszkańców. Wśród kilkuset prymitywnych chat wznosiło się zaledwie dwanaście dużych, kamiennych, pięknie wybielonych domów. Na murach, zbudowanych z odłamków koralu i mułu, nie było ani strzelnic na lufy armatnie, ani armat; zniszczone przez czas, pozapadały się miejscami. Miasto mimo wszystko było punktem zbornym i celem podróży wielu karawan, które przybywały tu z głębi kraju. Takie właśnie obozowisko ludzi, wielbłądów i koni ujrzano z pokładu „Syreny” za murami miasta. Kapitan zacierał ręce z radości na myśl o dobrych interesach.

Kiedy zarzucili kotwicę, do okrętu zbliżyła się łódź. Wysiadł z niej jakiś Arab i z dostojną miną wszedł na pokład. Był to komendant portu. Domagał się dokumentów okrętowych. Po zapoznaniu się z nimi — mówił — emir zdecyduje, czy załoga okrętu może wyjść na ląd. Zapytał też, skąd statek przybywa, jaki wiezie ładunek i czy spotkano okręt wiozący zbiegłych niewolników. Kapitan udzielił informacji i wręczył papiery, nie wspominając ani słowem, że pod pokładem ma jeńców. Komendant oddalił się, niczego nie podejrzewając. Wrócił po kilku godzinach z meldunkiem, że emir zgodził się, by statek pozostał na kotwicy i rozpoczął handel. W zamian żąda jedynie zapłacenia podatku i cennego podarku.

— Emir — dodał na koniec — przyśle wam kilku żołnierzy, aby was chronili przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Żołnierzom tym będziecie płacić żołd i zapewnicie utrzymanie.

— Nie są nam potrzebni. Gdyby nam groziło niebezpieczeństwo i tak nie byłiby w stanie nas obronić.

— Och, to ludzie bardzo odważni.

— Jestem przeciwnego zdania. Są bardzo zuchwali, lekkomyślni, przynieśliby nam więcej szkody niż korzyści.

— Skąd wiesz? Powiedziałeś, że nigdy jeszcze tutaj nie byłeś.

— Przekonasz się wkrótce.

Komendanta portu ugoszczono i dano mu podarek, który zdaje się, zadowolił go. Po pewnym czasie wrócił do miasta.

Kapitan polecił, by przyprowadzono jednego z jeńców.

— Przybyliśmy do Zejli — powiedział przez tłumacza. — Zwracam ci wolność, ale pod

warunkiem, że pójdziesz do emira i powiesz, co zaszło. Niechaj sam tu przybędzie, by pomówić ze mną o losie twych towarzyszy. Przekaż mu, że jestem człowiekiem spokojnym, gotowym porozumieć się z nim. Jeżeli jednak stanie się inaczej, zabiorę jeńców i ukarzę jak najsurowiej.

Jeniec nie odpowiedział, ale z jego oczu można było wyczytać, że nie wróży kapitanowi przychylności emira. Wszedł na pokład i zsunął się do łodzi, w której Arabowie przywieźli wczoraj linę. Po chwili płynął wolno ku miastu.

Tłumacz rzekł do kapitana:

— Prowadzisz niebezpieczną grę. Emir to potęga. Po tym oświadczeniu z pewnością będzie cię uważał za wroga.

— Niech spróbuje!

Kapitan rozkazał marynarzom być w gotowości bojowej, a także zarzucić wokół statku sieci z drutu, które uniemożliwiłyby dostęp do burt.

Bryg zaopatrzony był w ten typ kotwicy, który można podnieść bardzo szybko. Wszystkie łodzie umocowano po bokach. Załoga czuwała w pogotowiu, aby — gdy zajdzie potrzeba — podnieść żagle i jak najprędzej odpłynąć.

Dom, w którym mieszkał emir, widoczny był z daleka. Kapitan poprosił tłumacza, który znał Zejlę, by mu go wskazał. W razie czego miał on być celem pocisków. Kapitan nie wiedział, ile w miasteczku jest armat poza tą, ustawioną na plaży, która odpowiedziała na powitalną salwę „Syreny”. Obcych okrętów nie zauważył. W zatoce stało zaledwie dziesięć małych jednostek, podobnych do tej, z którą wczoraj tak łatwo się rozprawił.

Dłuższy czas nic się nie działo. Wreszcie pojawił się na wybrzeżu uzbrojony oddział składający się z około trzydziestu ludzi. Wsiadli do łodzi i zaczęli płynąć ku brygowi. Mieli strzelby, dzidy, jatagany. W pierwszej łódce siedział jeden człowiek, zapewne komendant, reszta trzymała się w pewnej odległości za nim.

— Czy to ty więzisz naszych towarzyszy? — zawołał.

— Tak — przytaknął kapitan przez tłumacza.

— Wydaj ich!

— Kim jesteś?

— Dowódcą tutejszych wojsk.

— Nie mam ochoty do pertraktowania z tobą. Będę mówić tylko z emirem, jak to już zresztą oświadczyłem.

— Wsiądź do naszej łodzi, zawiozę cię do niego.

— Jeżeli chce, bym uwolnił jego ludzi, niech przybędzie do mnie.

— Jeśli ich nie wydasz, zabierzemy siłą. Ty zostaniesz naszym jeńcem, a twój statek przejdzie na naszą własność. To rozkaz emira.

— Powiedziałem ci już, że tylko z nim będę mówić. Atak potrafię odeprzeć.

Dowódca dalej groził. Bezskutecznie. Kazał więc swoim ludziom, by przybili do jego łodzi i zaczęli się naradzać.

Wreszcie zbliżył się jeszcze bardziej i znowu zawołał:

— Czy wydasz jeńców? Kapitan milczał.

— W takim razie weźmiemy ich sami. Strzelajcie do tych niewiernych!

Arabowie skierowali lufy strzelb ku pokładowi. Padła salwa. Kule uderzyły w burty i w maszty, nikogo jednak nie trafiły.

— Czy mamy odpowiedzieć? — zapytał sternik.

— Tak — odparł kapitan. — Ale nie strzelajcie do tych łotrów, byliby zgubieni. Wyślijcie kilka

pocisków w kierunku domu emira, on jest sprawcą wszystkiego, niech więc ponosi konsekwencje.

Sternik podszedł do jednej z armat, wycelował, dał ognia. Trafił. Arabowie w łodziach zaczęli wrzeszczeć i znowu strzelili. I tym razem statek niewiele ucierpiał.

Po czwartym pocisku z „Syreny” w ścianie domu emira ukazała się wielka dziura. W miasteczku słyhać było lament. Karawany, które porozbijały namioty za murami, zaczęły w panice cofać się na pewniejsze pozycje. Otwarto bramę, wyszedł przez nią jakiś człowiek i dał znak ręką. Na ten sygnał łodzie Arabów w szybkim tempie zaczęły odpływać z powrotem.

— Czy postać im kulkę? — zapytał sternik, dumny ze swych artyleryjskich sukcesów. Podnieciła go walka, palił się do dalszych prób zręczności.

— Nie. Im nie. Ale czy widzicie ten budynek na prawo? To z pewnością meczet. Jeżeli zabierzemy się do niego, muzułmanów ogarnie trwoga jeszcze większa i prędzej zmiękną. Spróbujcie, czy uda się trafić w świątynię.

— Oczywiście. Przecież mamy ją jak na dłoni. Sternik bardzo starannie nabił armatę. Dwa pierwsze

strzały uszkodziły meczet, po trzecim załamał się dach. Znowu rozległy się jęki i krzyki i znowu otwarto bramę.

Wyszedł z niej żołnierz, powiewający na znak pokoju burnusem, potem ukazała się lektyka. Przyniesiono ją na brzeg. Wysiadł z niej jakiś człowiek i pośpieszył ku łodzi komendanta. Po chwili podpłynął do statku w otoczeniu pozostałych łodzi. Zatrzymał się w takiej odległości od brygu, aby go można było słyszeć na pokładzie. Ogień wstrzymano, więc podniósł się i zawołał:

— Dlaczego strzelaliście w dom Allacha i w mój?

— A dlaczego wy strzelacie do mego statku?

— Bo jesteście niewiernymi buntownikami, zdrajcami i nie chcecie mnie słuchać.

— Kim jesteś, że śmiesz żądać czegokolwiek od nas?

— Jestem panem tego miasta. Wszyscy znajdujący się tutaj są mi winni posłuszeństwo.

— Jeśli naprawdę jesteś emirem, wejdź na pokład, porozmawiamy.

— Zejdź do mnie, jestem przecież ważniejszy od ciebie.

— Jeżeli nie przyjdiesz, kule moje wykażą, kto tu ważniejszy!

Emir po krótkiej naradzie ze swoimi powiedział:

— Postępujesz jak nasz wróg, nie mogę ci zaufać.

— Zaręczam słowem, że nic złego ci się nie stanie.

— Zaręczasz również, że będę mógł opuścić twój statek, gdy tylko zechcę?

— Tak.

— Zastanowię się więc, czy przyjść.

— Daję ci dwie minuty. Po ich upływie rozpocznę palbę.

Gdy czas minął, kapitan rozkazał:

— Ognia!

Padł celny strzał, dom emira znów został trafiony. Widząc, że to nie przelewki, władca zawołał:

— Przestań! Już idę! Razem z eskortą.

— Sam wejdiesz na pokład, do każdego innego będę strzelał.

Kapitan, jak widać, nie chciał pójść na żaden kompromis. Może ktoś inny na jego miejscu postępowały inaczej ze względów handlowych, ale on, Europejczyk, uznał za punkt honoru pokazać pyszałkom, że się ich nie ulęknie.

Emir musiał więc ustąpić i kiedy marynarze usunęli sieci, sam wszedł na pokład. Ponurym spojrzeniem obrzucił załogę. Gdy policzył, że składa się zaledwie z czternastu ludzi, zapytał:

— Czy to twoja cała załoga?

— Tak.

— I z taką garstką śmiesz mi się opierać?

— Jak widzisz. Jesteśmy Europejczykami, a jeden Europejczyk da radę dwudziestu twoim.

Te słowa, wypowiedziane wyniosłym tonem, odniosły skutek. Emir usiadł na dywanie. Naprzeciw spoczął kapitan, po jego prawej stronie stanął sternik, po lewej tłumacz. Połowa załogi znajdowała się w pobliżu, reszta zaś obserwowała uważnie nieprzyjacielskie statki.

Przez chwilę emir i kapitan mierzyli się wzrokiem od stóp do głów. Kapitan był przystojnym człowiekiem o brązowej od wiatru i słońca twarzy i jasnym otwartym spojrzeniu. Emir starszy od niego, miał w postawie pewne dostojeństwo, ale w oczach sporo obłudy i właściwej Arabom chytryści.

— Przyszedłem tu — powiedział — aby cię pociągnąć do odpowiedzialności. Jesteś zbrodniarzem i poniesiesz za to karę.

— Mylisz się. To ja cię wezwałem, abyś usprawiedliwił się przede mną. Spełniłeś moją wolę, co stanowi wystarczający dowód, że nie czujesz się w porządku. Ale chętnie wysłucham twoich żalów.

— Usłyszysz ich bardzo wiele. Opierałeś się przeszukaniu „Syreny”, wzięłeś do niewoli moich ludzi, z twojej to winy straciłem statek. Zamiast prosić o przebaczenie, strzelasz do świątyni i do mego domu. Ukarzę cię surowo.

— Znowu się mylisz. Prawo do przeszukiwania statków mają tylko okręty wojenne państw prawnie uznanych. Żaden marynarz nie byłby taki głupi, by uważać twoją łódkę za okręt wojenny. Nie wywieszono nawet flagi na maszcie.

— Dowódca powiedział, że statek należy do mnie i występował w moim imieniu.

— Co z tego? Nie jestem twoim poddanym. Tych trzech wzięłem do niewoli, ponieważ nazwali mnie psem. Gdybyś i ty się na to zdobył, zabiłbym cię. Żadnych obelg nie zniosę. Komendantowi, występującemu w twoim imieniu, pozwoliłem wziąć mój okręt na linę, chociaż wiedziałem, że popełnia niedorzeczność. To jego wina, że straciłeś okręt. Powinienem być pozwolić, aby razem ze swymi ludźmi poszedł na dno. Nie uczyniłem jednak tego. Przeciwnie, uratowałem całą załogę. Zamiast dziękować obraził mnie, nazwał łotrem. Wzięłem zuchwalca do niewoli, abyś go sam ukarał. Sądziłem, że jesteś na tyle roztropny, by nie wszczynać wojny z kimś, kto ma przewagę nad tobą. Ale kazałeś strzelać do statku. Miałem więc prawo do obrony. Jeszcze nikt nie zginął, ale oświadczam ci, że się stąd nie ruszę, dopóki nie otrzymam satysfakcji.

Emir — całkowicie zaskoczony takim przedstawieniem sprawy — chciał coś odpowiedzieć, ale kapitan nie pozwolił mu dojść do słowa.

— Nie mam ochoty ani czasu na rzucanie słów na wiatr. Słuchaj, co ci powiem. Tych, którzy mnie obrazili, ukarzesz. Pozwolisz mieszkańcom Zejli i wszystkim ludziom znajdującym się w mieście na odwiedzenie mego statku i na nawiązanie z nami stosunków handlowych. Ponadto przeprosisz mnie na piśmie za obelgi wyrażone słowem bądź czynem. Odchodzę teraz, ale zapewniam, że ani trochę nie odstąpię od warunków. Jeżeli się nie zgodzisz w ciągu kwadransa, zrównam Zejlę z ziemią. Widziałeś, że nasze kule nie chybiają. Zniszczę doszczętnie twoje okręty, a jeńców powieszę na masztach. Pamiętaj, że to nie żarty! — wstał i poszedł do swojej kajuty. Gdy po piętnastu minutach sternik go zawiadomił, że emir przystaje na wszystko z wyjątkiem pisemnych przeprosin, wyszedł na pokład i dał rozkaz:

— Strzelajcie po kolei do każdego domu.

Sternik zbliżył się do armaty, by wypełnić rozkaz, a kapitan usiadł w tej samej pozycji, co

przedtem. Arab chciał coś powiedzieć przez tłumacza, lecz kapitan go uprzedził:

— Podałem ci warunki. Termin, który wyznaczyłem, minął. Nie stanie ci się nic złego. Możesz opuścić okręt. Ale ja zrobię dokładnie to, co obiecałem.

W tejże samej chwili sternik dał ognia. Arab zatrzęsł się na huk wystrzału, a gdy zobaczył jego straszliwe skutki, zawołał:

— Wstrzymaj się! Spełnię, czego żądasz!

— Zgoda! Czy masz przy sobie dokumenty, które ci przyniósł ode mnie komendant portu?

— Tak.

— Oddaj mi je!

Gdy emir zwrócił dokumenty, kapitan ciągnął dalej:

— Zapłacę ci portowe, nic ponadto. Podarunków nie otrzymasz, straciłeś je przez swoją głupotę. Każę zaraz przynieść papier, abyś mógł napisać przeprosiny.

— Napiszę u siebie w domu.

— Nie, tutaj. I dodasz, że nie uczynisz nic przeciwko mnie. Jeżeli nie dotrzymasz słowa, po całym świecie rozniosę, w jaki sposób cię ukarałem. Jeńców zatrzymam jako zakładników. Oddam ich dopiero przed odjazdem i będę obecny przy wymierzaniu kary.

Widząc, że sternik stoi przy nabitej armacie, emir musiał chcąc nie chcąc zgodzić się na warunki kapitana.

— Uczynię, czego żądasz — rzekł. — Uniknęlibyśmy jednak tego wszystkiego, gdybyś pozwolił na przeszukanie statku.

— Gdybym się na to zgodził, postąpiłbym niezgodnie z prawem i honorem i okryłbym się hańbą.

— Chodziło przecież tylko o przekonanie się, czy na twoim statku nie ukryli się zbiegli niewolnicy.

— Czy niewolnicy ci byli tak cenni, że z ich powodu narażałeś się na niebezpieczeństwo?

— Nie należeli do mnie.

— Ach, tak! Do kogo więc?

— Do sułtana Hararu.

— Phi! Tym bardziej nie wierzę, że mieli jakąkolwiek wartość — bagatelizował kapitan.

— Przeciwnie. To dwaj biali chrześcijanie i jedna młoda chrześcijanka, która jest tak piękna jak wierzchołek góry w blaskach jutrzeńki.

Zaintrygowało to kapitana. Biali chrześcijanie, a więc Europejczycy! Zapytał więc:

— Czy wiesz, z jakiego kraju pochodzą ci mężczyźni?

— Tak. Nazywają go Espania.

— A niewolnica?

— Tego sułtan nie wie.

— Jakim językiem mówiła?

— Tym samym co dni. Związali sułtana i zrabowali jego skarbiec. Potem uprowadzili kilka wielbłądów i uciekli z dwoma Somalijczykami. Następnego dnia służba znalazła sułtana i uwolniła go z więzów.

— Co uczynił później?

— Wysłał natychmiast w pościg wielką liczbę wojowników na czele z wezyrem.

— Dokąd?

— Na wybrzeże, do Berbery, bo tam zbiegowie mogliby dostać się na statek. Sam zaś przybył do mnie. Muszę słuchać rozkazów mego władcy, za nieposłuszeństwo grozi mi kara.

— Czy zabrane skarby przedstawiają dużą wartość?

— Ogromną. To wielkie ilości złota, pięknych sukien i milionowych klejnotów. Można kupić za nie cały kraj.

— Czy niewolnicy uciekli na statku?

— Nie. Mieli wprawdzie najlepsze i najszybsze wielbłądy i dotarli do wybrzeża szybciej niż pościg, ale wiemy doskonale, że w ostatnim czasie nie pokazał się tam żaden statek; na morzu wiał silny wiatr południowy. Zresztą wysłałem znaczną część mojej floty, by ich szukała. Znajdą zbiegów z pewnością.

Kapitan zamyślił się. Obaj mężczyźni byli Hiszpanami, dziewczyna z pewnością także. W jaki sposób dostali się w ręce osławionego z okrucieństwa sułtana Hararu? Musieli to być ludzie odważni i gotowi na wszystko, jeśli zdecydowali się na ucieczkę. Ale teraz są bez wątpienia w fatalnym położeniu. Powiniennem choć spróbować im pomóc — postanowił. Dlatego zapytał:

— Ale do tej pory natrafiliście chyba na ich ślad? Twarz emira przybrała złośliwy wyraz.

— Nie tylko na ślad, ale na coś o wiele ważniejszego.

— Na co?

— Powiedz najpierw, że ich nie masz u siebie.

— Pierwszy raz o nich słyszę.

— Chcę ci wierzyć. Schwytaliśmy jednego z dwóch Somalijczyków, którzy byli zapewne przewodnikami zbiegów.

— Jak to się stało?

— Wysłałem wojowników, aby przeszukali wybrzeże. Tego młodego Somalijczyka znaleźli w pobliżu. Zaskoczyli go i nie zdążył uciec. Złapano go, choć bronił się jak diabeł i zranił wielu wojowników. Zaczęli go wypytywać, ale milczał. Milczał uparcie i wtedy, gdy sprowadzili go do mnie, do Zejli. Pokazałem go sułtanowi. Poznał go. To był jego jeniec. Ale bądź pewien: zacznę mówić.

— A jeżeli będzie wolał umrzeć?

— W takim razie pójdzie do piekła.

— Nie schwytacie zbiegów. Wasi wojownicy, wasze statki nic nie są warte.

— Chcesz mnie obrazić?

— Nie. Ale przekonałeś się, że mam przewagę nad tobą i że „Syrena” może trzymać w szachu całą Zejlę, choć jest nas tylko czternastu. Jakże złapiecie tych niewolników, jeśli uciekli na okręcie? Czy macie odpowiednią broń? Czy macie statek, który by żeglował tak szybko, aby nie mógł przed nim umknąć okręt choćby taki jak mój?

Emir utkwiał wzrok w ziemię. Słowa kapitana trafiły mu do przekonania. Doświadczył przecież na sobie, jak rozumnie, energicznie i przezornie człowiek ten umie postępować. Dlatego zawołał:

— Ach, gdybym miał taki statek jak twój!

— Oczywiście, gdyby... — kapitan przypatrywał mu się spod oka. — idę o zakład, że udałoby mi się oddać zbiegów w twoje ręce, gdybym zajął się tą sprawą.

— Sułtan obiecał za ich odnalezienie wysoką nagrodę: dwadzieścia wielbłądów obładowanych kawą.

— Na Boga, przecież to bogactwo!

Na twarzy Araba pojawił się wyraz drapieżnej chciwości. Uczucie to owładnęło nim do tego stopnia, że stracił całą rozwagę, której mu dotąd nie można było odmówić.

— Jakiej części nagrody zażądałbyś za tych niewolników?

— Jestem bogatszy od ciebie, nie potrzeba mi wcale tej nagrody. Odszukanie ich byłoby dla mnie po prostu niezgorszą zabawą.

— Uczyń to, uczyń! — emir całkowicie stracił panowanie nad sobą, tak podnieciła go nadzieja, że bez wysiłku zagarnie całą nagrodę.

— Niestety — kapitan z udanym ubolewaniem pokiwał głową — muszę tu pozostać, aby sprzedać swój towar.

— Sprzedasz wszystko w ciągu kilku godzin, o ile tylko ja tego zechcę.

— Tak sądzisz?

— Są tu wielkie karawany z Amhary, Kaffy i Ogady. Sam wielu rzeczy potrzebuję, mieszkańcy Zejli również. Sułtan Hararu kupiłby cały statek, gdybyś mu tylko przyrzekł, że wyruszysz w pościg.

— Przecież nie ma czym płacić. Zrabowano mu skarby.

— Nie wszystkie. Przywiózł ze sobą dużo srebra. A poza tym uważa za swoją własność to, co posiadają mieszkańcy Hararu; pieniądze także.

— A czym będą mi płacić karawany?

— Kością słoniową i masłem. My zaś z Zejli perłami, które łowimy na wybrzeżu. Jeżeli rozkażę, by od dziś ludność kupowała tylko u ciebie, wieczorem nie będziesz miał na pokładzie ani jednej sztuki.

Kapitał był zadowolony. Przede wszystkim z perspektywy sprzedaży towarów w ciągu jednego popołudnia zamiast całych tygodni; nie uśmiechało mu się pływanie od portu do portu. Był również zadowolony z zapłaty, gdyż kość słoniowa i perły przedstawiały w Europie wielką wartość, a masło mógł sprzedać we Wschodnich Indiach po wysokiej cenie.

— Odpowiadają mi twoje propozycje — powiedział

— ale czy sułtan się zgodzi?

— Na pewno, tylko musisz się z nim sam porozumieć. W tym momencie emirowi wpadła do głowy myśl, która zaniepokoiła go poważnie.

— Dlaczego — zapytał z pewnym zakłopotaniem

— chcesz występować przeciwko tym Hiszpanom? Przecież jesteś takim samym chrześcijaninem jak oni? Czy mieszkacie w tym samym kraju?

— Nie. Dzieli nas wielki szmat ziemi.

— Ale wyznajecie jedną religię?

— Nie, różne. Oni są katolikami, ja zaś protestantem.

— Co to takiego?

Kapitan odpowiedział przez porównanie:

— Podobnie u was różnią się sunnici od szyitów.

— Ach, w takim razie nie mam już żadnych obaw — uspokoił się. — My, sunnici, nienawidzimy szyitów bardziej aniżeli niewiernych.

— Dobrze, ale przedtem musisz podpisać list przeproszający.

Arabowi było to bardzo nie na rękę.

— Czy nie zwolniłbyś mnie z tego?

— Teraz nie. Ale przyrzekam, że jeśli będę z ciebie zadowolony, oddam ci to pismo, przyrzekam również, że nie będę nalegał na ukaranie twoich ludzi. Mam nadzieję, że się na tobie nie zawiodę.

— Nigdy. Jestem twoim przyjacielem! Jak się nazywasz?

— Wagner.

— Trudno to wymówić, język się skręca. Ale mniejsza o to. Czy chcesz już teraz pojechać ze mną do Zejli? Jeszcze dzisiaj polecę cię sułtanowi.

— Czy gwarantujesz mi nietykalność?

— Przysięgam na Allacha, na brody proroków i wszystkich kalifów, że wrócisz tu bez

najmniejszego szwanku i że każę zabić każdego, kto by ośmielił się obrazić ciebie. Możesz przenieść towary do miasta i przystąpić do sprzedaży.

— Nie, tego nie zrobię, mógłbym tam spotkać kupców nie tak uczciwych, jak ty. Każę zanieść skrzynie i paczki na pokład. Będziemy wpuszczać po dziesięć osób naraz, a towary sprzedawać tylko hurtem. Poślę po papier. Ty napiszesz przeproszenie, a ja tymczasem przygotuję się do wyjścia.

Dał sternikowi niezbędne zlecenia i poszedł do swojej kajuty. Miał sporo roboty. Przed wszystkim przebrał się i wziął najróżniejsze rodzaje broni, chciał bowiem uchodzić za dostojnego człowieka. Skończywszy z tym, zaczął przerzucać kartki słownika arabskiego. Mruczał przy tym:

— Któż zrozumie tę diabelską mowę! Jak po arabsku „ja”? Aha — „ana”. A „jestem”? Tego jakoś nie widzę. Może więc inaczej... „Także”? „Eida”. Hm, „chrześcijanin” — „nassrani”. Jeżeli więc powiem: „Ana eida nassrani”, będzie to znaczyło: „Jestem także chrześcijaninem” i Somalijczyk domyśli się chyba, że go chcę uratować. Teraz szukam „nadzieja”. Jest „Amel”. „Postaram się uwolnić cię, ale stać się to może tylko w nocy”. „Nossf el leel” znaczy „północ”. Zapiszę to sobie.

Na małej kartce z trudem wykaligrafował od prawej ku lewej: „Ana eida nassrani — amel — nossf el leel”.

— No tak! — powiedział z zadowoleniem. — Chyba zdoła przeczytać te kulfony: „Jestem także chrześcijaninem — miej nadzieję — przyjdę o północy”. Oby tylko mi się udało wetknąć kartkę jeńcowi. Oj, Wagnerze, Wagnerze, gdyby twoja stara wiedziała, że zaplątałeś się w tak niebezpieczną sprawę, byle tylko pomóc cudnej niewolnicy!

Zwinął karteczkę, włożył do kieszeni i wrócił na pokład. Kazał sobie przeczytać i przetłumaczyć, co napisał emir, a potem wręczył to oświadczenie sternikowi. Sternik, który był mu bardziej przyjacielem niż podwładnym, odezwał się z troską w głosie:

— Naraża się pan na wielkie niebezpieczeństwo. Przecież mogą pana uwięzić!

— To wykluczone. Emir przysiągł, a mahometanie nie łamią nigdy przysięgi.

— Jeżeli w ciągu dwóch godzin pan nie wróci, zacznę ostrzeliwać miasto.

— Dobrze. A jeśli nie wróciłbym do wieczora, będziesz musiał powiesić jeńców, jednego obok drugiego.

— Czy nie zabierze pan eskorty?

— Nie. Jedna z zasad Wschodu brzmi wprawdzie: im większy orszak, tym dostojniejszy pan, ale nie chcę, aby te szelmy myślały, że się ich boją. Zresztą marynarze są na statku bardziej potrzebni. Do sprzedaży będzie można jednak przystąpić dopiero po moim powrocie, muszę bowiem zabrać ze sobą tłumacza.

Wydawszy jeszcze kilka zarządzeń, wsiadł do łodzi razem z emirem i tłumaczem.

Eskorta Araba, która wciąż jeszcze krążyła w pobliżu na łodziach, zdziwiła się niepomiernie, ujrawszy pośród siebie wroga i to bez żadnej ochrony. Arabowie nie rzekli jednak ani słowa i podążyli za nimi.

Przed bramą północną stała lektyka. Emir, nie chcąc obrażać swego gościa, nie wsiadł do niej. Poszli piechotą przez brzydkie, niepozorne uliczki.

Wszędzie stali ludzie i obrzucali obcego złymi spojrzeniami. Po jego bogatym stroju poznali, że to kapitan statku, który zniszczył ich świątynię.

Dopiero gdy się zbliżyli do budynku, w którym mieszkał emir, Wagner mógł dokładnie oszacować szkody wyrządzone przez -armaty. Tylko sutereny utrzymały się w dobrym stanie. Po wejściu do środka gospodarz zaprowadził gości do pokoju obwieszonego dywanami. Kapitan siadł na czymś, co przypominało krzesło.

Na polecenie pana służba przyniosła fajki i kawę. Emir pił i palił łapczywie, mrużąc oczy z



zadowolenia.

— Kiedy spotkam się z sułtanem? — przerwał tę sjęstę kapitan.

— Gdy on będzie miał na to ochotę.

— Ach, gdy będzie miał ochotę? Niechaj przyjdzie mu ona prędko, inaczej ty wpadniesz w tarapaty.

— Dlaczego?

— Bo o ile nie wrócę do wieczora, moi ludzie będą strzelać do miasta i powywieszają jeńców.

Podziałało to jak uderzenie pioruna. Arab zerwał się przerażony z dywanu i zaczął nasłuchiwać, czy przypadkiem nie padają już kule.

— Jesteś w gorącej wodzie kąpany! Miej trochę cierpliwości! Idę do sułtana i opowiem mu o tobie.

Prawie wybiegł z pokoju. Tłumacz opróżnił filiżankę i z podziwem spojrział na kapitana.

— Nigdy w życiu nie spotkałem takiego jak ty człowieka. Czy nie wiesz, że znajdujesz się w jaskini lwa i że cała ludność tego miasta życzy ci śmierci, bo zniszczyłeś jej świątynię?

— Nie bardzo groźnie wygląda mi ten lew.

— Poskromiłeś go, ale w każdej chwili może rozszałeć się na nowo. A sułtan to istny tygrys.

— Za chwilę więc znajdę się wśród malowniczej menażerii: emir-lew, sułtan-tygrys, ty zaś zając.

— Nie wolno mi oburzać się na twoje szyderstwa, jesteś bowiem moim panem i płacisz mi za usługi. Ale i nade mną zawisło niebezpieczeństwo. Jako tłumacz będę musiał podzielić twój los.

— W takim razie możesz się nie obawiać, nic złego nam nie grozi.

Usługiwał im Murzyn. Napełnił filiżanki i podał fajki nabite powtórnie. Po pewnym czasie wrócił emir.

— Chodź ze mną — rzekł — sułtan czeka na ciebie. Przeszli do większego pokoju. Na małym podium, wysłanym cennymi dywanami, siedział sułtan i ćmił długą fajkę. Obrzuciwszy kapitana badawczym spojrzeniem, zwrócił się do tłumacza:

— Klęknij, niewolniku!

W Hararze wszyscy poddani, z którymi raczył mówić, musieli leżeć na brzuchu. Jeśli pozwoli komuś klęczeć, uważał to za dowód niezwykłej łaski. Tłumacz ukląkł. Kapitan nie zrozumiał rozmowy prowadzonej po arabsku, wyczuł jednak doskonale jej związek z upokorzeniem tłumacza.

— Dlaczego uklęknałeś? — zapytał.

— Sułtan mi rozkazał.

— Ach tak! A kto jest twoim panem? — Ty.

— Kogo więc powinieneś słuchać?

— Ciebie.

— W takim razie rozkazuję ci wstać.

— Sułtan każe mnie zabić.

— Przedtem poślę mu kulkę w głowę. Wstań! Będę z nim mówił siedząc, ty zaś będziesz stał. To dostateczny dowód szacunku.

Tłumacz podniósł się, ale cofnął o kilka kroków, by go nie mógł dosięgnąć nóż sułtana.

— Psie, dlaczego wstajesz?! — chwytając za broń wrzasnął tamten. — Klęknij natychmiast albo przebiję cię sztyletem!

Tłumacz trząsał się jak w febrze.

— Zakłuje mnie, jeżeli nie uklęknę — szepnął do kapitana.

— Powiedz mu, że prędzej jego dosięgnie moja kula niż ciebie sztylet.

To mówiąc wyciągnął rewolwer i wycelował w głowę sułtana. Ten zbladł, nie wiadomo, ze strachu czy z wściekłości.

— Czego chce ten niewierny? — zapytał tłumacza.

— Powiada, że strzeli do ciebie, zanim zdążysz wyciągnąć sztylet.

Twarz sułtana nabrała dziwnego, trudnego do określenia wyrazu. Tak nie mówił z nim jeszcze nikt na świecie! Kapitan miał jednak tak stanowczą postawę, że sułtan cofnął rękę i po krótkiej pauzie zapytał:

— Dlaczego nie pozwalasz, aby ten człowiek ukląkł przede mną? — spytał.

— Ponieważ to mój sługa, nie twój.

— Czy wiesz, kim jestem?

— Wiem, bo miano mnie zaprowadzić do sułtana Hararu.

— Oto masz mnie przed sobą w całej okazałości! Słowa te powiedział takim tonem, jakby spodziewał się, że przybysz padnie przed nim na twarz. Tymczasem kapitan zareplikował ze stoickim spokojem:

— A ty wiesz, kim ja jestem?

— Zameldowano mi kapitana statku, który odważył się ostrzeliwać Zejlę.

— Oto masz mnie przed sobą w całej okazałości! Sułtan naprawdę się zdumiał.

— Jak możesz przyrównywać się do mnie! Jesteś tylko marynarzem, ja zaś sułtanem wielkiego kraju!

— Jakiego tam wielkiego! Nie raz rozmawiałem ze znaczniejszymi i sławniejszymi ludźmi od ciebie. Jesteś władcą niewolników. O wiele większy zaszczyt przynosi władza nad wolnymi. Zabraniam memu słudze klękać przed tobą. Albo uszanujesz moją wolę, albo siłą wymuszę szacunek — powiedziawszy to, rozsiadł się wygodniej obok sułtana i położył przed sobą dwa rewolwery.

Emir stał dotychczas przy kapitanie. Nigdy dotąd nie odważyłby się bez zezwolenia usiąść tak blisko tyrana. Przykład Wagnera podziałał jednak i na niego. Usiadł, lecz w pewnej odległości.

Sułtan zaniemówił. Z kimś takim nie spotkał się nigdy! W dodatku niepokoiły go rewolwery. Przecież człowiek, który ostrzeliwał całe miasto, potrafi z pewnością palnąć w łeb sąsiadowi! Odsunął się nieco i rzekł:

— Gdybyśmy byli w Hararze, kazałbym cię zasztyletować.

— Gdybyś zaś był w mojej ojczyźnie, dawno odrąbano by ci głowę. W krajach zachodnich istnieje bowiem zwyczaj ścinania głów sułtanom, o ile nie podobają się ludowi.

Władca otworzył usta, zrobił wielkie ze zdziwienia oczy.

— Czy bywałeś przy takich egzekucjach? — zapytał odruchowo.

— Nie, nie jestem przecież katem. Ale do rzeczy. Palisz z wielką przyjemnością, co widać wyraźnie, a ja nie mam zwyczaju odmawiać sobie tego, co innym smakuje. Niech mi także dadzą fajkę!

Tłumacz jeszcze nigdy w życiu nie pośredniczył przy podobnej rozmowie. Z początku drżał o swoją skórę, ale teraz już przestał się bać. Wszystko, co mówił jego pan, tłumaczył dosłownie, nie starając się nic łagodzić.

Emir klasnął w dłonie. Murzynowi, który się zjawił, kazał przynieść kilka fajek. Kapitan zapalił i zaciągnął się z rozkoszą.

— Możesz zaczynać — zwrócił się do sułtana. — Pomówmy wreszcie o naszej sprawie.

— Emir poinformował mnie o twojej prośbie.

— O mojej prośbie? — Wagner dobrze udał zdumienie. — Do nikogo nie zwracałem się z prośbą. To z twoich ust spodziewałem się usłyszeć życzenie.

Kapitan obrał, jak się okazało, odpowiednią taktykę. Każdy tyran ugina się przed stanowczością czy tupetem, w gruncie rzeczy bowiem jest zwykłym tchórzem. I władca Hararu był taki sam. Kapitan przestraszył go nie na żarty. Powiedział sobie w duchu, że właśnie tego rodzaju człowiek podołałby zadaniu, jakiemu inni nigdy nie potrafiliby sprostać. Dlatego odparł łagodnym tonem:

— Mam jedno życzenie, ale nie wiem, czy je potrafisz spełnić.

— Spróbuję — zachęcał kapitan.

— Czy emir opowiedział ci wszystko?

— Tego nie wiem. Powiedz mi sam, o co ci chodzi. Kapitan jeszcze raz więc usłyszał tę samą historię.

Sułtan przemilczał tylko to, co jego zdaniem mogło mu zaszkodzić. Ale wściekłości ukryć nie potrafił i kapitan wyczuł, że byłby zdolny do najstraszniejszych okrucieństw, gdyby zbiegowie dostali się znowu w jego ręce. Kończąc, zapytał:

— Czy uważasz, że jeszcze można ich schwytać?

— Tak.

— W jaki sposób? Czy za pośrednictwem ujętego przez nas Somalijszczyka?

— Nie. Jest to dzielny człowiek i wiele zaryzykował. Zginie raczej, a nie zdradzi swego ojca.

— Będę go dręczył, wystawię na śmiertelne męki!

— Nic nie wskórasz. Popełni co najwyżej samobójstwo. Przynajmniej ja bym tak postąpił na jego miejscu.

— Nie ma broni przy sobie.

— Można się życia pozbawić nawet bez broni. Bywali już tacy. Czy myślisz, że nie ustalili dokładnie ze swym ojcem i z tamtymi dwoma, co ma robić, jeśli go złapiecie? Żebyście go nie wiem jak dręczyli, będzie postępował tylko tak, jak postanowili.

— Jak, mianowicie?

— Tego nie wiem. Nigdy go nie widziałem i zupełnie go nie znam. Może ucieknie z więzienia? Może znajdzie sprzymierzeńców, na przykład Somalijszczyków, którzy mu okażą pomoc? A może przyrzeknie, że zaprowadzi cię do zbiegów i po drodze ucieknie? Albo przygotowuje zasadzkę?

— Przecież to niemożliwe!

— Czy Hiszpanie nie mają twoich skarbów? Czy nie potrafią zwerbować wystarczającej liczby ludzi i zapłacić im za napad na ciebie?

Sułtan zadumał się.

— Nie przyszło mi to do głowy — odparł wreszcie. — Jesteś tak przebiegły, że mógłbyś zostać wezyrem sułtana. Byłem pewien, że wyczerpałem wszystkie środki.

— Nie zrobiłeś tego, co najprostsze, najłatwiejsze i najpewniejsze zarazem. Powiadasz, że ucieczka mogłaby się udać tylko wtedy, gdyby zbiegowie znaleźli na wybrzeżu statek, który zabrałby ich na pokład. Dlaczego nie postarałeś się o taki statek?

— Oszalałeś?! — krzyknął sułtan. — Ja, od którego uciekli, któremu zrabowali skarby, któremu uprowadzili najpiękniejszą niewolnicę, ja miałbym pomagać im w dalszej ucieczce?

— Kto to powiedział? — uśmiechnął się kapitan. — Czy naprawdę nie zrozumiałeś? Gdybym był na twoim miejscu, wsiałbym na statek i kazał kapitanowi płynąć wzdłuż wybrzeża. Gdyby zbiegowie zjawili się, poleciłbym załodze przyjąć ich na pokład, a sam ukryłbym się. Na pełnym morzu rozkazałbym ich obezwładnić i dopiero wtedy stanąłbym przed nimi.

Sułtan skoczył na równe nogi i zawołał:

— Allach il Allach! Na Allacha, masz rację! Jesteś mądrzejszy od nas wszystkich!

Emir również okazywał podziw:

— Czy Allah odjął nam rozum, że nie wpadliśmy na ten pomysł? Jesteś nie tylko nieustraszony i dzielny, ale ponadto chytry i mądry.

— Jeszcze nasz błąd naprawimy, i to natychmiast! — gorączkował się sułtan.

— Nie tak prędko, zastanówcie się nad tym dokładnie

— mitygował kapitan.

— Po co? Przecież masz całkowitą rację. Tylko w ten sposób ich schwytnamy.

— Ale na to jest już za późno. Młodego Somalijczyka wysłali jako gońca. Ponieważ nie wrócił, są pewni, że został schwytnany i będą jeszcze bardziej ostrożni. Ponadto zapewne spostrzegli wasze statki. Czy Somalijczycy znają statki emira?

— Tak.

— W takim razie orientują się, że one ich ścigają, i nie zbliżą się do żadnego z nich.

— Znowu masz rację — mruknął sułtan. — Daj nam więc dobrą radę! Jeżeli to uczynisz, dostaniesz trzydzieści wielbłądów z pełnym ładunkiem kawy.

— Jedytny na nich sposób to wysłanie im na przynętę jakiegoś obcego statku, do którego by się nie bali zbliżyć. Najlepszy byłby europejski.

— Rada twoja jest dobra. Ale gdzie znaleźć taki statek poza twoim?

— Dam ci swój.

— Naprawdę?!

— Tak, ale pod pewnymi warunkami. Ponieważ nie możemy tracić ani chwili czasu, cały mój ładunek musi być sprzedany do wieczora.

— Moja w tym głowa, by tak się stało! — zawołał emir. — Przyrzekłem już, a słowa zwykłem dotrzymywać.

— Ja sam kupię od ciebie tyle, na ile mi starczy złota i srebra — dodał władca Hararu. — Jakie masz towary?

Kapitan wyliczył cały swój ładunek.

— Odpowiada mi to. Ja kupię część, emir też, resztę karawany. Czy stawiasz jeszcze jakieś warunki?

— Tak. Z nagrody, którą przeznaczyłeś za schwytnanie zbiegów, niczego nie żądam. Niechaj całą otrzyma mój przyjaciel, emir. Dasz mi pisemne zobowiązanie, które mu przekażę, gdy tylko schwytnam zbiegów.

Emir omal nie rzucił się na szyję swemu nowemu wielkodusznemu przyjacielowi. Sułtan zaś nie mógł wprost pojąć takiej bezinteresowności.

— Czy dobrze słyszałem?! Powiedziałeś, że niczego nie żądasz?!

— Niczego. Jeden chętnie poluje, drugi gra w karty, moją zaś pasją jest łapanie zbiegów. Radość, że połów się udał, będzie dla mnie dostateczną nagrodą. Czy mogę przedstawić mój ostatni warunek?

— Słucham.

— Muszę zobaczyć schwytnanego Somalijczyka. Hiszpanie, jestem tego pewny, wyślą teraz na zwiady jego ojca. Podczas gdy mój okręt będzie płynął wzdłuż wybrzeża, będę je obserwował przez lunetę. Nic nie ujdzie mojej uwagi. Stary jest bez wątpienia podobny do syna. Gdy tylko się pokaże, poznam go z łatwością.

— Allah jest wielki, a mądrość twoja ogromna! — ucieszył się sułtan. — Zgadłeś, są do siebie podobni jak dwie krople wody. Sam pokażę ci jeńca.

— Nie zaraz, przede wszystkim musisz nam dać pisemne przyrzeczenie.

— Sporządę je pod twoje dyktando. Przynieście pergamin, atrament, lak i pióro.

— Jeszcze chwila — rzekł kapitan. — Skąd weźmiesz kawę?

— Przyślę ją z Hararu.

— Jak długo trwa transport?

— Jeden obieg księżyca.

— Dobrze, pisz więc!

Sułtan umaczał pióro i zaczął pisać pod dyktando:

*Ja, Ahmed ben Abubekr, emir i sułtan Hararu, przyrzekam na Allacha i proroka jego, co następuje: prześlę Hadži Sharmakayowi ben Ali Saleh, emirowi miasta Zejli, trzydzieści porcji dobrej kawy wraz z wielbłądami w ciągu jednego obiegu księżyca, jeśli tylko w tym czasie kapitan Wagner schwyta mych zbiegów.*

Podpisał, zdjął z szyi pieczęć i odcisnął ją w laku.

— Jesteś zadowolony? — zapytał.

— Owszem — odparł kapitan, a zwracając się do emira dodał: — Powiedziałem, że pismo to otrzymasz dopiero później. Ale weź je już teraz.

Arab chwycił pergamin w obie ręce i zawołał rozpromieniony:

— To dowód dla mnie, że jesteś szlachetnym człowiekiem! Jesteś mi przyjacielem, najlepszym przyjacielem wśród przyjaciół, najlepszym dobroczyńcą wśród dobroczyńców. Powiedz, jak mam słać twoje imię i twoją dobroć?

— Żądam tylko, byś dotrzymał obietnicy.

— Co do sprzedaży towarów? Spełnię ją natychmiast. Wyszedł szybkim krokiem. Gdy się oddalił, sułtan odłożył fajkę i zwrócił się do Wagnera:

— Chodź, pokażę ci jeńca.

— Jak się nazywa?

— Murad Hamsadi.

Tyran poszedł przodem. Minęli podwórze i dostali się na dziedziniec szerokości zaledwie ośmiu metrów i niemal zupełnie pusty, bo tylko pośrodku stał stary pleciony kosz.

— Tutaj! — rzekł sułtan. — Odsuń kosz.

Kapitan ku swemu przerażeniu ujrzał głowę jeńca, sterczącą nad ziemią. Wykopano widać dół, postawiono go w nim, potem zaś otwór zasypano. Mimo tych tortur Somalijczyk był przytomny. Popatrzył na sułtana z wyrazem niesłychanej nienawiści, potem zmierzył Wagnera złym wzrokiem.

Kapitan sięgnął do kieszeni i nie zwracając uwagi na sułtana, wyjął karteczkę, którą przygotował przedtem. Choć wiedział, że nie może wręczyć jej jeńcowi, miał nadzieję, że może zdoła mu ją pokazać. Oczywiście nie przyjdzie to z łatwością, ale postanowił spróbować. Skrawek papieru był tak mały, że ukrył go w dłoni.

— Przypatrz się dobrze temu psu — powiedział sułtan.

— Może spróbujesz nakłonić go do mówienia?

— A po co? Choćby nawet pary z ust nie puścił, schwytasz jego ojca i pozostałych zbiegów. I wtedy wszyscy poniosą karę.

— Czy jesteś pewny, że ten niewolnik nie wydostanie się z dołu? Kiedy się porusza, podważa i roztrąca ziemię.

— To nic mu nie pomoże. Przywiązano go do pała.

— Naprawdę? Mam wrażenie, że pracował nad tym, by się uwolnić.

Wagner schylił się nad głową zasypanego i udając, że lewą ręką szuka czegoś w piasku, prawą

razem z kartką podsunął pod oczy jeńca tak, by mógł ją przeczytać, o ile tylko czytać umiał. Sułtan nie zwrócił uwagi na ten manewr i powiedział:

— Ziemia jest mocno ubita. Nie martw się o to.

— Ale czy to nie ryzykowne pozostawiać go bez wartownika?

— W dzień warta jest niepotrzebna, w nocy zaś stoi tu jeden wojownik, drugi zaś dalej przy drzwiach do budynku. Żadną miarą nie może uciec.

— W takim razie jestem spokojny.

W głosie kapitana brzmiało zadowolenie, poznał bowiem po wzroku zakopanego, że odczytał i zrozumiał słowa wypisane na kartce. Osiągnął więc swój cel, dodał jeńcowi nieco otuchy i nadziei.

Wróciwszy do pokoju, zastali tam emira, który zameldował, że odpowiednie rozkazy zostały już wydane.

— Pójdę na statek — powiedział na koniec.

— Ja również — dodał władca Zejli.

Obaj chcieli wybrać najlepsze towary i obawiali się, że inni ich ubiegą.

— Spieszcie się, bo czas nagli — Wagner spoglądał na zegarek.

W tym samym momencie padł strzał i rozległ się okropny huk.

— Allach il Allach, co to jest? — przeraził się sułtan. — Dlaczego strzelają?

— Ponieważ czas wyznaczony przeze mnie minął, sternik jest przekonany, że przyjęto mnie tu nieprzyjaźnie. Spieszę wyprowadzić go z błędu.

— Spiesz się, śpiesz! Idziemy za tobą! — zawołał sułtan.

Kapitan opuścił dom w towarzystwie tłumacza. Na ulicach stali przestraszeni ludzie. Ujrawszy przybyszów, chwycili za sztylety, ale nie śmieli rzucić się na nich. Kapitan doszedł do bramy, wyciągnął chustkę i zaczął nią powiewać. Natychmiast rozległo się na statku głośnie „hura”, w kilka zaś chwil potem podpłynęła szalupa, aby kapitana zabrać na pokład.

Kiedy przybiła do brzegu, jeden z marynarzy zapytał:

— Jak wypadła rozmowa?

— Wszystko poszło dobrze. Do wieczora, a może i dłużej będzie tęga robota. Otrzymacie za to obfitszy niż zwykle wikt i podwójny żołd miesięczny, o ile wszystko się uda. No, można odbić od brzegu!

— Hura, niech żyje kapitan Wagner! — zawołali marynarze.

Szalupa kołysała się na fali jak mewa.

# OSZUKANIE TYRANA

Gdy Wagner przybył na pokład, sternik powitał go serdecznym uściskiem dłoni.

— Dzięki Bogu! Myślałem już, że po panu.

— Rozpoczęliście kanonadę o całe dziesięć minut za wcześnie.

— Nic nie szkodzi. Przekonali się przynajmniej, że nie ma z nami żartów. A zresztą gdyby było źle, może by te dziesięć minut pana uratowały. Jak się panu udało?

— Świetnie. Opowiem wszystko później. Za chwilę rozpoczniemy sprzedaż. Co z ładunkiem?

— Niech się pan odwróci i popatrzy.

W głosie sternika czuć było dumę i zadowolenie. Miał do tego prawo. Cały pokład pokrywały beły i skrzynie już otwarte.

— Dobra robota! — pochwalił kapitan. — Każ przyrządzić grogu. Może do wieczora sprzedamy wszystko.

— Naprawdę?

— Chyba tak. Popatrz na brzeg. Oto nadchodzi emir.

— Z kim idzie?

— Z sułtanem Hararu. Zechcą oczywiście kupić najlepsze towary. Podwyższamy wobec tego ceny o dwadzieścia procent i sprzedajemy tylko skrzyniami i belami. Pamiętajcie!

— Niech mnie лихо porwie, jeśli to nie wymarzony interes!

Gdy obaj dostojnicy zjawili się na pokładzie, zaprowadzono ich do kapitańskiej kajuty. Czekali tam poczęstunek, ale odmówili, zbyt im było śpieszno do puszczenia statku na morze. Sułtan przyniósł cały worek złotych talarów oraz skrzynkę złotych haszajników i bransolet zabranych poddanym. Emir wypłacił się perłami, które także z pewnością w niezbyt legalny sposób dostały się w jego ręce. Przystąpiono do interesu. Sułtan i emir chcieli obejrzeć najlepsze towary. Wybierali niedługo, nawet nie za bardzo się targowali i kazali służbie szybko znosić zakupy do łodzi.

— Widzisz, dotrzymałem słowa — emir zwrócił się do kapitana, wskazując na brzeg. — Już idą. Jeżeli będziesz pilnował porządku, wszystko pójdzie bardzo szybko.

Rzeczywiście na brzegu, obok łodzi, które miały przewieźć towary zamienne na statek, tłoczyli się ludzie. Nie mieli odwagi podpłynąć i wejść na pokład brygu, na którym bawili jeszcze sułtan i emir. Strzał, dany przedtem przez sternika, przeraził ich wprawdzie, ale uspokoili się widząc, że obaj władcy bez strachu wstępują na pomost.

— Kiedy statek będzie mógł odpłynąć? — zapytał sułtan.

— Dokładnie nie wiem — odparł Wagner. — Muszę stosować się do wiatru i stanu fali. Czy mogę wysłać gońca, jeżeli w nocy nastanie łagodny wietrzyk?

— Dobrze. Będę oczekiwał i dam odźwiernemu rozkaz, aby go wpuścił.

Sułtan opuścił statek wraz z emirem. Teraz dopiero przybyła reszta kupujących. Rozpoczął się zgiełk i hałas, jakiego dotychczas tu nie znano, bo w tych okolicach towary przenoszono zazwyczaj na brzeg i tam sprzedawano wiele tygodni. A teraz na małym pokładzie zaczęli się tłoczyć wszyscy, chcąc zakończyć handel przed nadejściem nocy. Tłumacz miał mnóstwo pracy, marynarze również. Gdy się ściemniło i kupujący opuścili bryg, cała załoga była zachrypnięta i nieludzko zmordowana. Ale trzeba było dalej pracować, aby towary, które otrzymano w zamian, umieścić pod pokładem. Gdy i z tym się uporano, odesłano na łodziach jeńców.

Sternik wyszedł na pokład, aby zaczerpnąć powietrza. Spotkał kapitana, który również chciał

nieco odetchnąć.

— Ależ to było piekielne popołudnie — westchnął sternik.

— I wieczór będzie wyjątkowy — kapitan wypuścił kłęby dymu z cygara. — Ale chcę pomówić o czymś innym. Czy czytał pan kiedyś w życiu romans?

— Hm! — pytanie wyraźnie zdetonowało sternika.

— O jakim pan myśli?

— No, o jakimkolwiek.

— Do diabła! Żadnego właściwie nie czytałem. Na pokładzie jest co innego do roboty, na lądzie zaś szynk i wódka. Czytanie przyprawiało mnie zawsze o ból głowy. Mózg mam zbyt delikatny.

— No, tego nie widać — Wagner uśmiechnął się.

— A więc przeżyjemy dziś coś w rodzaju romansu. Czy pan słyszał, co rano opowiadał emir?

— O tych zbiegłych Hiszpanach i pięknej niewolnicy?

— Tak. Uratuję ją. Niech pan posłucha.

Sternik słuchał uważnie. Gdy kapitan skończył, uderzył pięścią w ster i zawołał:

— Niechaj diabli porwą tych drani, sułtana i emira! Ci Hiszpanie to z pewnością dzielni ludzie i szkoda by było, gdyby się dostali w ręce prześladowców. O północy oswobodzę tego biedaka!

— Jeden z nas musi zostać na statku. A zresztą ja znam drogę do niego, pójdzie więc mi łatwiej.

Wezmę z sobą czterech chłopców. Okręcimy wiosła szmatami i dla bezpieczeństwa dobijemy do brzegu poza miastem. Jeden będzie pilnował łodzi, trzech poprowadzę do domu emira.

— Czy potrzebne motyki i łopaty?

— Nie, tylko rydle. Motyki narobiłyby zbyt wiele hałasu.

— Czy naprawdę jest pan pewien, że zbiegowie znajdują się jeszcze na lądzie, bo nie znaleźli okrętu?

— Tak. W czasie mojej wyprawy przygotujcie wszystko do rozpięcia żagli. I niech pan będzie dobrej myśli.

Kilka minut po dziesiątej, gdy w przystani i mieście zapanowała głęboka cisza, łódź odbiła od statku. Nie słyhać było uderzeń wiosel, ponieważ je obwiązano. Kapitan Wagner, jak mówił, nie skierował łodzi prosto ku miastu, lecz zatoczył łuk. Płynęli w całkowitym milczeniu. Dotarli do brzegu dopiero po upływie pół godziny. Było ciemno i pusto.

Jeden z marynarzy pozostał w łodzi, trzej wraz z kapitanem wysiedli i ruszyli ku murom miasta. Dotarli tam w ciągu kwadransa. Zaczęli iść wzdłuż murów, aż natknęli się na wyłom. Przeszli przez niego ostrożnie i dostali się do miasta. Jakiś czas nasłuchiwali. Nic, nawet najmniejszego szmeru. Zanim zaczęli skradać się dalej, zdjęli buty. Zachowując najgłębszą ciszę, dotarli do domu emira. Teraz musieli bardzo uważać, sułtan bowiem zapowiedział, że nie będzie spał. Jeżeli tak było w istocie, nie spała również jego służba. Obeszli cały budynek i doszli do muru wielkiego podwórza. Wdrapali się na górę jeden po drugim.

Dotychczas wszystko szło dobrze. Przy zeskakiwaniu jednak któryś z marynarzy uderzył rydlem o mur. Rozległ się donośny dźwięk.

— Prędko, padnijcie na ziemię — szepnął kapitan.

Zaledwie wykonali rozkaz, usłyszeli kroki. To nadchodził wartownik, który miał posterunek przy wejściu na mały dziedziniec. Nie zauważył nic i chciał wrócić.

Nagle wyrósł za nim kapitan i zadał mu pięścią potężny cios w kark. Wartownik zachwiał się i upadł.

— No, z tym sprawa załatwiona. A teraz dalej! Zaczęli się cicho czołgać naprzód. Kapitan wyteżył wzrok. Usiłował wyłowić z mroku drugiego wartownika, który wedle słów sułtana miał się



znajdować obok jeńca. Nagle usłyszał wypowiedziane w języku angielskim pytanie.

— Czy to pan, kapitanie?

— Kto to? Kto tu mówi po angielsku?—zaniepokoił się Wagner.

— Możecie mi zaufać — szeptał dalej niewidoczny człowiek. — Jestem wartownikiem jeńca, ale zarazem jego przyjacielem.

Kapitan odważył się zapytać:

— Kim jesteś?

— Żołnierzem emira. Pochodzę z Abisynii. W Adenie nauczyłem się mówić po angielsku.

Gdybyście nie przybyli, byłbym dziś w nocy spróbował uciec z jeńcem.

— W takim razie nie traćmy czasu i odkopmy go. Przystąpili do dzieła. Czekali ich nie lada wysiłek, zwłaszcza że trzeba było uważać, by rydle nie robiły hałasu. Po upływie pół godziny Somalijczyk leżał na ziemi. Stać nie mógł, stracił bowiem władzę w nogach: Trzeba go było nieść.

— Idziesz z nami? — zapytał kapitan żołnierza.

— Oczywiście, jeśli mnie zabierzecie.

— Bardzo chętnie. No, naprzód!

Silni marynarze bez trudu przetransportowali jeńca przez mur. Wracali tą samą drogą, którą przyszli.

Kiedy w pewnej odległości od muru poczuli się bezpieczni, Wagner zagadnął żołnierza:

— Dlaczego postanowiłeś uwolnić jeńca?

— Nie podoba mi się w Zejli. Zresztą było mi go żal.

— Czy stałeś przy nim na warcie?

— Tak, wczoraj. Jestem abisyńskim chrześcijaninem, nie mogłem patrzeć na jego męki. Zacząłem z nim rozmawiać, oczywiście tak cicho, by reszta warty nie usłyszała. Powiedział mi wszystko i zapewnił, że otrzymam od Hiszpanów nagrodę, jeśli go uwolnię. Ale ta próba chyba by się nie powiodła, nie może przecież chodzić. Powiedział jeszcze przedtem, że jakiś chrześcijanin pokazał mu kartkę, na której było napisane, aby o północy miał nadzieję. Prosiłem, aby mi opisał tego człowieka, który mu pokazał tę kartkę.

— To wyjaśnia sprawę. Potrafisz się więc z nim porozumieć?

— Tak. Zna nie tylko swój język, ale i arabski.

— To znakomicie. Muszę z nim pomówić, nie chcę jednak wtajemniczać w tę sprawę mego tłumacza. Nie ufam mu. Teraz musimy jak najszybciej znaleźć się na pokładzie.

Biegiem przebyli przestrzeń dzielącą ich od brzegu, przy którym przycumowana była łódź. Okazało się, że Somalijczyk może już stać o własnych siłach. Weszli do łodzi i odbili. Wiosłowali energicznie. W ciągu pół godziny dotarli do brygu. Przywitał ich sternik.

— Czy coś się tu wydarzyło? — zapytał kapitan.

— Nie.

— Gdzie jest tłumacz?

— Śpi. Nic nie zauważył.

— Chwała Bogu. Niech natychmiast jeden z marynarzy odpłynie na małej łodzi i oświadczy sułtanowi, że musimy zaraz podnieść kotwicę.

— Macie jeńca, prawda? Czy nie lepiej tych bufonów zostawić w Zejli? Będą dla nas tylko ciężarem.

— Nie. Muszą ponieść karę.

Kapitan kazał sprowadzić Somalijczyka i żołnierza do swojej kajuty. Przylegała do niej inna, w której można ich było ukryć. Na pokładzie panowała cisza. Słyszał tylko plusk wody pod

wiosłami oddalającej się łodzi.

Wagner wszedł do kajuty, poleciwszy przedtem kucharzowi przynieść trochę jedzenia dla jeńca.

— O panie — zawołał Somalijszyk — jakże ci wdzięczni będą i ojciec mój, i Hiszpanie za to, żeś mnie uratował!

— Gdzie oni są?

— U stóp góry Elmes.

— Na Boga, może ich już złapano? Przecież ciebie schwytano właśnie blisko niej!

— Tak, poilem w źródle wielbłąda.

— W takim razie z pewnością szukano tam również twoich towarzyszy. Nie ulega wątpliwości, że dokładnie przeczesano ten zakątek.

— A jednak nie znaleziono ich, schowali się bowiem w pewnej kryjówce, znanej tylko szczepowi mego ojca. Nikt z obcych nigdy o niej nie słyszał.

— Gdzie to jest? — dopytywał się Wagner.

— Jesteś naszym zbawcą, więc powinieneś wiedzieć o wszystkim. Przed wiekami mój ród mieszkał na wybrzeżu. Żył z sąsiadami w niezgodzie, a ponieważ napadali nań często, więc praojcowie nasi urządzili sobie kryjówkę, w której mogli się czuć bezpieczni. W ścianie góry szczelina prowadziła do głębokiej, szerokiej pieczary. Zamurowano ją, zostawiono tylko wejście u dołu i niewielki otwór u góry, aby powietrze miało dostęp. Skałę pokryto ziemią, która z czasem porosła trawą i krzewami. Pieczara jest tak duża, że może pomieścić dziesięć wielbłądów i dziesięciu ludzi.

— I tam cię Hiszpanie oczekują?

— Tak. Z pewnością zorientowali się, że stało mi się coś złego, ale umówiliśmy się, iż będą czekać na mnie pięć dni.

— Czy mają pożywienie?

— Kupiliśmy po drodze daktyle. Przy źródle, które leży niedaleko, znajdują wodę dla siebie i wielbłądów.

— Czy znasz imiona Hiszpanów?

— Jeden nazywa się don Fernando, drugi Mindrello.

— Czy kobieta jest również Hiszpanką?

— Nie. Pochodzi z Meksyku i nazywają ją seniora Emmą.

Somalijszyk opowiedział kapitanowi pokrótce wszystko, co mu było wiadomo o tej trójce. Jeszcze nie skończył, gdy rozległ się odgłos uderzanych p wodę wiosł.

— To sułtan z emirem! — zawołał Abisyńczyk. — Jesteśmy zgubieni.

— Nie bój się — uspokajał go kapitan. — Jesteś pod moją opieką.

— Poznają mnie przecież.

— Do głowy im nie przyjdzie szukać was tutaj. A gdy zasną, będziecie mogli wyjść na pokład i zaczerpnąć powietrza.

— Więc popłyną z nami? — wyjąkał żołnierz jeszcze bardziej przerażony.

— Tak. Chcą schwycić zbiegów. Mam im w tym pomóc. Ale z mojej strony to podstęp. Wziąłem ich na statek tylko po to, aby widzieli, jak zostaną uratowani ci, których zguby pragnęli.

Wagner wyszedł na pokład. Znajdowali się już na nim goście wraz ze służbą. Sułtan, który poznał kapitana w świetle latarni okrętowej, podszedł do niego i zaczął coś mówić w najwyższym wzburzeniu. Wagner go nie zrozumiał. Dopiero tłumacz wyjaśnił, o co chodzi.

— Czy wiesz, co się stało? — zapytał władca Hararu. — Nasz jeńiec uciekł!

— Ach! — Wagner udał wielkie zdziwienie.

— Tak. Miałeś dziś rano rację, ziemia była poruszona.

— Kiedy wykryłeś ucieczkę?

— Tuż przed wyjściem z domu emira. Nie zrozumieliśmy, wprawdzie, co mówił twój goniec, ale po jego minach i ruchach domyśliliśmy się, że mamy natychmiast przybyć na statek. Po drodze zajrzeliśmy na dziedziniec, gdzie ten pies był zakopany. A on znikł bez śladu! Jednego z wartowników omal nie położył trupem, drugi uciekł, zapewne ze strachu przed karą.

— Co zrobiłeś?

— Rozkazałem wysłać pościg w kierunku południowym. Tam znajdują się pozostali zbiegowie, tam więc uciekł Somalijczyk.

— Postąpiłeś słusznie. A teraz rozgoście się tutaj. Na przednim pomoście kazałem urządzić wam namiot. Rano będziecie mieć z niego widok na całe wybrzeże. Za pośrednictwem tłumacza porozumiecie się z kucharzem. Muszę was na pewien czas opuścić, aby objąć komendę. Odplywamy za chwilę.

— Czy przepłyniesz nocą wśród raf?

— Mam nadzieję. W dzień dokładnie obejrzałem ten teren, a zresztą na rufie stoi marynarz obserwator i w każdej chwili nas ostrzeże. Waszą łódź weźmiemy na linię.

Sułtan i emir weszli do namiotu. Był dość obszerny, usłany matami do siedzenia i leżenia. Po chwili usłyszeli komendę wydawaną przez Wagnera załozde.

Zajęczały łańcuchy, kotwica poszła w górę. Podniesiono dolny żagiel, statek sunął wolno wśród raf. Był czas odpływu. Człowiek, stojący na rufie okrętu, mimo ciemności orientował się, jak unikać niebezpiecznych miejsc. Gdy bryg ominął rafy, wciągnięto górne żagle. Mocny wiatr zaczął w nie dmuchać i piękny okręt wypłynął na wzburzone wody.

Mniej więcej pośrodku między dwoma miastami portowymi — Zejlą i Berberą — wznosi się góra Elmes, o której opowiadał kapitanowi Somalijczyk. Niezbyt odległa od brzegu, ma kształt toczonego, odciętego kręglu. Po południowej jej stronie leży miasteczko, a raczej obóz koczowniczy, zwany Lamal. Miasteczko zawdzięcza swe powstanie małej rzeczce, która wypływa z góry i gubi się w ławicach piasku. Po drugiej stronie leży źródło, przy którym został schwytany młody Somalijczyk.

Gdy hrabia Fernando szczęśliwie przybył tu ze swymi ludźmi, przewodnicy zaprowadzili go do kryjówki. Postanowiono czekać tu na odpowiedni statek. Przeszedł jednak cały dzień, a statku nie zauważono. Ponieważ w miasteczku Lamal mieszkał szczep, któremu nie można było ufać, a czas naglił, młody Somalijczyk miał pojechać na północ i rozejrzeć się za jakimś okrętem. Ojciec kazał mu ominąć Zejlę i przedrzeć się do portu Tadjura, dokąd z pewnością nie dotarł żaden goniec sułtana.

Następnego dnia wieczorem zbiegowie zaprowadzili wielbłądy do źródła, by je napoić. Przy brzegu leżał złamany łuk. Stary Somalijczyk wziął go do ręki i zaczął dokładnie oglądać.

— Tu odbyła się walka — rzekł po chwili.

— Skąd wiesz? — zaniepokoił się don Fernando.

— Ten łuk nie został złamany, ale pocięty. Mogło się to stać tylko podczas walki. Szukajmy dalej, może jeszcze coś znajdziemy.

Było ciemno. Szukali po omacku. Nagle Mindrello natrafił na sznurek, na którym wisiało coś okrągłego.

— Znalazłem — oznajmił.

— Pokaż! — poprosił Somalijczyk.

Kiedy dotknął przedmiotu, podskoczył i krzyknął rozpaczliwie.

— Co się stało? — don Fernando przeraził się nie na żarty.

— To talizman mego syna. Napadnięto go tutaj.

— Mylisz się. Pojąc wielbłąda, zgubił talizman.

— Nie, nie gubi się talizmanu zawieszzonego na tak mocnym sznurku. Po prostu zerwano mu go z szyi. Schwytano chłopca i zawleczono do Zejli. Ten łuk należał do jednego z żołnierzy emira. Poznają po kształcie.

Jęczał głośno. Trudno go było uspokoić. Postanowiono obejrzeć to miejsce jeszcze raz, w dzień, po czym wrócono wraz ze zwierzętami do kryjówki.

W nocy nikt nie zmrużył oka. Już o świcie wszyscy wraz z Emmą poszli do źródła. Przed wszystkim zwrócili uwagę na strzępek jakiejś materii. Somalijczyk podniósł go i zaczął dokładnie oglądać.

— Widzicie, miałem słuszość! To kawałek szaty mego syna. Tu walczył i tu go pokonano.

Trudno opisać rozpacz starca. Minął smutny dzień. Od czasu do czasu wychodził ktoś na szczyt góry, by zobaczyć, czy nie ukaże się jakiś statek. Jednakże po morzu pływały tylko statki emira. Somalijczyk znał je.

— Zostaliśmy zdradzeni — biadał. — Emir kazał nas szukać. Musimy mieć się na baczności, inaczej zginiemy.

Znowu upłynął dzień; ten, w którym Wagner przybył na brygu do Zejli. W nocy nic się nie wydarzyło. Zrozpaczony Somalijczyk nie mógł znaleźć sobie miejsca. A musiał wytrzymać — jak obiecywał synowi — jeszcze trzy długie doby.

Po południu wszedł znowu na szczyt góry. Usiadł i patrzył na morze. Nie zauważył oddziału jeźdźców, który zbliżał się od północy. Tamci jednak go dojrzel i zoczyli nieco w głąb wybrzeża, by ukryć się za skałkami. Gdy Somalijczyk odwrócił głowę i zobaczył ich, byli już blisko. Zerwał się w jednej chwili i zbiegł z góry. Puścili się galopem i dotarli do jej podnóża prawie równocześnie z nim. Po jego stroju zorientowali się, że to ktoś ze szczepu Somali. Nagle zginął im z oczu, jakby zapadł się pod ziemię.

Dotarł szczęśliwie do kryjówki i zawołał:

— Szykujcie się do walki! Ciągnie za mną ośmiu jeźdźców emira!

— Miną nas — uspokajał don Fernando.

— Nie. Spostrzegli mnie. Nie miałem czasu zejść im z oczu. Z pewnością widzieli, gdzie się ukryłem.

— W takim razie musimy bronić naszego życia i tajemnicy kryjówki. Jeżeli ją znajdą, muszą zginąć.

Don Fernando podniósł się i wziął broń do ręki, Mindrello również się nie ościagał. U wejścia usłyszeli głos:

— Tutaj zniknął. Widziałem wyraźnie.

— Jak mógł zapaść się pod ziemię? — spytał ktoś drugi. — To przecież niemożliwe.

— Może jest tu jakiś otwór lub szczelina? Zbadajmy grunt.

Kilkanaście męskich nóg uderzyło o ziemię. W tym samym niemal momencie ktoś zawołał:

— Chodźcie do mnie! Tutaj odezwał się głuchy dźwięk! Musi być jakiś otwór. Sprawdzę sztyletem.

Między młodymi palmami, tworzącymi drzwi szczeliny, pojawiło się ostrze sztyletu.

— Tak, to tutaj I Mój sztylet wchodzi aż po rękojeść — cieszył się żołnierz.

— Uwaga! — syknął don Fernando. — Życie nasze wisi na włosku!

Napastnicy odskoczyli z lękiem na widok głębokiej szczeliny, u której wejścia stało trzech dobrze uzbrojonych mężczyzn.

— Ognia! — zakomenderował hrabia.

Z obu dubeltówek wystrzelono po dwa razy. Somalijczyk strzelał również. Użyto też rewolwerów. Ludzie emira padali jak muchy. Gdy jednak zbiegowie wyszli z kryjówki i zaczęli przeszukiwać leżących, stwierdzili, że jeden jeszcze oddycha.

Kula rewolwerowa utkwiała mu w piersi. Widać było, że jego chwile są policzone. Somalijczyk ukląkł nad nim i spytał:

— Przybyliście z Zejli? Mów prawdę. Stoisz w obliczu śmierci, która zaprowadzi cię albo do raju, albo do piekła. Czy schwytano jakiegoś Somalijczyka?

— Tak — wyszeptał z trudem.

— Jak się ten człowiek nazywa?

— Murad Hamsadi.

— Gdzie jest teraz?

— Uciekł.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem. Wyruszyliśmy, by go odszukać.

Mówienie kosztowało umierającego zbyt wiele wysiłku. Krew rzuciła mu się ustami. Zmarł.

— Uciekł! — Stary Somalijczyk nie posiadał się z radości. — Dzięki niechaj będą Allahowi! Żyje, wolny, zobaczę go! Ten zmarły przyniósł mi radosną wieść, niechaj więc nie idzie w drogę śmierci bez modlitwy wiernego.

Ukląkł obok trupa i zaczął się modlić. Potem kolejno zanosił zabitych nad morze i oddawał falom.

Konie żołnierzy, przerażone głośnie salwą, pouciekały. Tajemnica kryjówki Somali została zachowana. W serca zbiegów wstąpiła otucha. Wierzyli znowu w swe wybawienie i ze spokojem oczekiwali nocy, która być może przyniesie im wyzwolenie.

W nieprzeniknionych ciemnościach kapitan Wagner wypłynął na szerokie morze. Do brzegu wrócili nad ranem. Nieprzychylny wiatr przeszkadzał szybkiemu kabotażowi; statek krążył przez cały dzień wzdłuż wybrzeży i dopiero z nastaniem wieczora kapitan dojrzał przez lunetę górę Elmes.

Powolność ta nie podobała się sułtanowi i emirowi. Także kapitan przestał się im podobać. Odzywał się do nich rzadko i to takim tonem, jak gdyby byli jego sługami. Kiedy więc przechodził obok ich namiotu, zaczepił go sułtan:

— Jeżeli dalej tak będziesz prowadził statek, nie schwytamy nikogo. Widzieliśmy dzisiaj wybrzeże tylko przez kilka krótkich chwil. Ładnie dotrzymujesz słowa!

— Zamilcz! — rozkazał kapitan za pośrednictwem tłumacza, który był zawsze w pobliżu. — Nie jesteśmy w Hararze i nie jestem twoim poddanym. Dałem słowo, że schwytam zbiegów i dotrzymam go.

— Jakim tonem mówisz do nas?! — wrzasnął sułtan. Wagner wzruszył pogardliwie ramionami i szybkim krokiem poszedł do kambuza. Kucharzowi wręczył jakąś torebkę.

— Ten proszek — powiedział — wsyp do kawy i podaj ją mahometanom.

W godzinę później obaj Arabowie spali jak susły. Wagner zszedł do kajuty i otworzył kryjówkę, w której ukrył Abisyńczyka i Somalijczyka.

— Już czas — powiedział. — Zbliżamy się do góry. Za jakiś kwadrans będzie ją można zobaczyć przez lunetę. Bądźcie gotowi.

— Na Allacha, a to się ucieszy mój ojciec! — zawołał Somalijczyk.

— Czy palą światło w kryjówce?

— Tak. Sporządziliśmy cienkie łuczywa z włókien daktylowych i dzikiego laku.

— Możemy więc nie zabierać świec. Chodźcie! Wszedł z nimi na pokład i przyłożył do oczu lunetę.

Dłuższy czas oglądał wybrzeże, wreszcie podszedł do sternika.

— Stop! — rozkazał. — Tu zarzucimy kotwicę i spuścimy szalupy. Jesteśmy u celu.

Zwinięto żagle, rzucono kotwicę, spuszczone łodzie. Do jednej wsiedli Wagner i Somalijczyk. Kapitan wziął ze sobą wyładowaną torbę.

Gdy łodzie przybiły do brzegu, kapitan i Somalijczyk skierowali się ku górze spowitej w ciemnościach. Starali się tłumić odgłos kroków. Po chwili Somalijczyk zatrzymał się, nachylił, zagłębił rękę w trawie, podważył grudę ziemi. Utworzyła się szpara, przez którą padła smuga światła. Kapitan pochylił się nad szczeliną i ujrzał zbiegów. Siedzieli w głębi groty na posłaniu z liści. Don Fernando rozmawiał z seniorą Emmą. Twarz jego miała szlachetny wyraz. Poznać też było od razu, ile ten człowiek wycierpiał. Przebrana za chłopca Emma wyglądała niezwykle wdzięcznie. Wagner umiał po hiszpańsku tyle, ile wystarczy dobremu kapitanowi morskemu, toteż zrozumiał, o czym półgłosem mówiono.

— Chciałbym jeszcze zobaczyć ojczyznę, popatrzeć wrogom w oczy, później niechaj śmierć przychodzi

— mówił don Fernando.

— Niech pan nie traci nadziei — pocieszała go Emma.

— Zwycięży pan swych wrogów i będzie długo żył. Wierzę, że Bóg ześle nam wybawcę.

Naraz rozległ się głos:

— Wybawca jest tutaj!

Zbiegowie zamarli ze zgrozy i zdumienia. W tym momencie ujrzeli Wagnera. Oświetlał go blask pochodni, za nim stał Murad.

— Synu! — zawołał stary Somalijczyk, rzucając się ku młodzieńcowi.

— Na Boga, kim pan jest? — zapytał don Fernando drżącym głosem.

— Jestem kapitanem, pochodzę z Kilonii. Nazwisko moje Wagner. Statek mój nazywa się „Syrena”. Przychodzę was zabrać na pokład i zawieźć, dokąd zechcecie.

— Wielki Boże, nareszcie, nareszcie!

Hrabia ukląkł, szepcząc słowa podzięk. Emma objęła go i przytuliła głowę do jego piersi. Oboje płakali z radości. Mindrello miał również łzy w oczach. Syn i ojciec obejmowali się serdecznie. Scena ta wzruszyła kapitana i jemu oczy zaszyły mgłą. Pierwszy opanował się hrabia. Wstał, podszedł do kapitana, wyciągnął obie ręce i powiedział:

— Jesteś aniołem, wysłannikiem Boga. Ale skąd dowiedziałeś się o nas?

— Od Murada — Wagner wskazał młodego Somalijczyka.

Murad wyczuł, że o nim mowa.

— Oswobodził mnie z niewoli, narażając własne życie — rzekł po arabsku. — Bombardował Zejlę, nie uląkł się samego sułtana Hararu. To bohater! Niechaj Allah go błogosławi, choć jest niewiernym!

Zaczęło się opowiadanie w języku arabskim i hiszpańskim. Po jakimś czasie, gdy wszyscy zaspokoili pierwszą ciekawość, kapitan zapytał hrabiego:

— Jak mam pana nazywać?

Dopiero teraz don Fernando zdał sobie sprawę, że kapitan nie wie, kim są zbiegowie. Nastąpiła prezentacja. Gdy Wagner się dowiedział, że długoletni jeniec jest hrabią, osłupiał.

— Proszę mną rozporządzać — rzekł po chwili. — Zrobię wszystko, aby państwu pomóc. Pomówimy jeszcze o tym na pokładzie. A teraz...

Wyciągnął torbę i wyjął kilka flaszek wina, szklanki oraz trochę wiktuałów. Podczas zaimprovizowanej uczty rozmawiano o zajściach w Zejli i ustalono sposób działania. Wagner przyrzekł zawieźć hrabiego, Mindrella i Emmę do Kalkuty. Somalijczycy i Abisyńczyk otrzymali ze skarbu sułtana bogate podarki. Postanowiono przewieźć ich do Adenu, gdzie będą bezpieczni, bo władza sułtana Hararu tam już nie sięga.

— Czy sądzi pan, kapitanie — spytał w pewnym momencie hrabia — że powinienem zwrócić sułtanowi skarby?

— To już pańska sprawa.

— Może będzie mnie senior uważał za złodzieja, ale klejnotów nie oddam. Traktuję je jako zapłatę za moją pracę w niewoli.

— Na pańskim miejscu postąpiłbym tak samo.

— Zresztą potrzebuję pokaźnej sumy na pewien cel, o którym teraz nie pora mówić. Dowie się pan o nim później i z pewnością zaaprobuje.

Kapitan stanął przy wyjściu i gwizdnął. Natychmiast zjawili się kilku marynarzy i poczęło wynosić z jaskini rzeczy wskazane przez don Fernanda. Byli zdumieni na widok kryjówek. Podziw ich wzrósł jeszcze, gdy poczuli, że worki są niezwykle ciężkie. Nie przypuszczali wszakże, jakie kryją skarby.

Gdy wszyscy przybyli na pokład „Syreny”, sułtan i emir jeszcze spali. Kucharz przygotował tymczasem kajutę dla Emmy, dla hrabiego zaś rozpięto na tylnym pokładzie prowizoryczny namiot. Postanowiono wypocząć do rana po trudach ostatnich dni. Sen trwał jednak krótko, wzruszenie nie pozwalało na wypoczynek. Zbudzili się, gdy słońce zaczęło się wychylać zza morza. Po śniadaniu ukryto zbiegów i obudzono Arabów. Ocknięci z narkotycznego snu, przeciągali się czas jakiś i ziewali, po czym poprosili o kawę. Wtedy kapitan niby przypadkowo przeszedł obok ich namiotu. Sułtan zapytał go:

— Czy będziemy dziś równie wolno żeglować jak wczoraj?

— Być może.

— W takim razie nigdy nie schwytasz tych łotrów. Zawiedliśmy się na tobie.

— Masz rację, ale inaczej, niż sądzisz. Wy śpicie, a ja pracuję. Złapałem zbiegów dziś w nocy.

— Allah il Allah! Dziś w nocy?

— Tak. Nie brak nikogo, nawet pięknej niewolnicy. Ba, jest również Somalijczyk, który uciekł z Abisyńczykiem.

— Na Allacha! Rozprawię się z nimi! Muszę wszystkich widzieć natychmiast! Wszystkich, natychmiast! Słyszysz? Gdzie oni są?

— Na brzegu. Każę spuścić łodzie dla was i dla siebie. Weź z sobą cały orszak. — Z kolei zwrócił się do emira: — Ponieważ jestem zadowolony i otrzymałem satysfakcję, zwracam ci pismo przepraszające.

Słowa te rozgorączkowały sułtana i emira. Zaczęli biegać po statku i dawać swoim ludziom sprzeczne rozkazy. Nie zauważyli wcale, co się działo na pokładzie. Ich łódź mianowicie została spuszczone na wodę, a łódź dla kapitana opuszczono tylko do połowy. Przy sznurach i linach stało kilku ludzi i udawało, że coś się zacięło w mechanizmie. Inni zajęci byli jakimiś przygotowaniami. Wprawne oko dojrzałoby bez trudu, że załoga sposobi się do wypłynięcia w morze.

Wreszcie Arabowie byli gotowi do drogi i zaczęli rozglądać się za kapitanem.

— Wsiadać! — rozkazał Wagner i sam wskoczył do swojej łodzi.

Ledwie jednak ostatni sługa sułtana znalazł się w szalupie, kapitan był już z powrotem na pokładzie. Podniesiono kotwicę, załopotaly żagle. Wagner przechylił się przez reling i zawołał do

sultana:

— Możesz się przekonać, że dotrzymałem słowa i schwytałem wszystkich zbiegów. Który jest najcenniejszy?

— Biała niewolnica. Ale dlaczego nie schodzisz do łodzi?

— Bo mogę ci ją pokazać tutaj. Patrz!

W tej chwili obok kapitana zjawiała się Emma. Zobaczywszy ją, sułtan krzyknął:

— Allach il Allach! To ona! Muszę wejść na pokład! Wstał, by chwycić się liny i wdrapać na statek. Kapitan dał znak jednemu z marynarzy, a ten odczepił linę i wrzucił do szalupy. Puszczona wolno łódka zaczęła się chwiać pod stopami sułtana, tak że władca Hararu runął jak długi. Podniósł się jednak i zawołał:

— Co to znaczy?! Dlaczego nas odwiązałeś? Muszę się dostać na pokład, muszę zabrać niewolnicę, ona jest moją własnością! A gdzie reszta?

— Tutaj.

Wagner wskazał na don Fernanda i Mindrella, którzy stali już obok niego. Tłumacz, który pośredniczył w rozmowie, nie miał — jak wiadomo — pojęcia o tym, że zbiegowie znajdują się na pokładzie. Był w najwyższym stopniu przerażony.

— Cóżeś uczynił, o panie — szepnął kapitanowi. — I sobie, i mnie zgotowałeś zgubę. Sułtan i emir zemszczą się straszliwie.

— Nie boję się ich zemsty.

— Ale ja bywam często w Zejli i w Berberze.

— Więc przestaniesz bywać.

— Poniosę wielkie straty.

— Może ci wynagrodzę...

— Mimo to nie chcę w tej sprawie być tłumaczem.

— Nie jesteś potrzebny, sam będę mówił.

Zdanie to wypowiedział hrabia, podchodząc do relingu. Sułtan zobaczył go teraz dokładnie i zawołał:

— Allach! To oni! Rozkazuję wam wziąć mnie z powrotem na pokład.

— Ani nam to w głowie!

— Więc zejdźcie do mnie. Rozkazuję!

— Zwariowałeś!? Rozkazujesz? Jesteśmy wolnymi ludźmi.

— Jesteście łotrami! Gdzie moje pieniądze i skarby?

— Tutaj, na statku.

— Wydajcie je!

— Nie bądź śmieszny. Chrześcijański hrabia musiał ci służyć przez tyle lat, wziął więc sobie od ciebie odpowiednią zapłatę. Bądź zdrow i nie zapominaj nauczki, którą dziś otrzymałeś!

Wściekłość sułtana była tak wielka, że nie mógł powiedzieć ani słowa. Wydał tylko kilka dźwięków. Wyręczył go emir, wołając:

— Rozkazuję ci wziąć nas na pokład! A może was zmusić?

— Spróbuj! — uśmiechnął się hrabia.

— Sułtan wystawił mi pismo, w którym stwierdza, że otrzymam nagrodę.

— Weź ją od niego. Warunki zostały spełnione. Miałeś otrzymać kawę wtedy, gdy my będziemy w rękach kapitana. Chwila ta nadeszła, żądaj nagrody.

— Psie! — zaklął Arab. — Oszukaliście nas!

— Ale wy nas nie. Bądźcie zdrowi! Emir rozkazał swoim ludziom:



— Wiosła do rąk! Przybić do statku! Jednocześnie kapitan zakomenderował:

— Stawiać żagle, przełożyć ster!

Załoga wykonała rozkaz. Gdy łódź zbliżyła się do statku, wskutek jego nagłego zwrotu nastąpiło zderzenie. Łódź przewróciła się i wszyscy wpadli do wody. Widać było z pokładu; jak starają się dopłynąć do brzegu.

— Tyran pęka ze złości! — cieszył się hrabia. — Biada tym, na których wyładowuje swój gniew!

— Spotka ich to samo co mnie, gdy przybędę do Zejli — biadolił tłumacz. — Emir wtrąci mnie do więzienia.

— Najlepszym rozwiązaniem będzie, jeżeli nie pojedziesz więcej do Zejli. Straty wynagrodzę ci w zupełności.

# WYSPA NA OCEANIE

Okręt wypłynął na pełne morze. Wkrótce przybył do Adenu, gdzie wysadzono na ląd tłumacza, Somalińczyków i Abisyńczyka, hojnie ich obdarowawszy. „Syrena” płynęła teraz na wschód, ku Indiom, by w Kalkucie mogli wysiąść pozostali pasażerowie. Rozmawiano podczas podróży niewiele, każdy zajęty był własnymi myślami. Dni schodziły podróżnym i załodze na odpoczynku, prowadzenie bowiem okrętu przy pomyślnym wietrze nie wymagało wielkiego wysiłku. Wieczorami zbierali się wszyscy na pokładzie i snuli plany na przyszłość.

Wagner był prostym, uczciwym człowiekiem, o czułym sercu. Dopisywał mu świetny humor, bo cieszył się, że wyratował nieszczęsnych zbiegów i zrobił w Zejli doskonały interes. Hrabia zdał sobie sprawę, że dalsza pomoc kapitana może przynieść jemu i towarzyszom nieocenione korzyści. Postanowił więc wtajemniczyć go w przeżycia wszystkich bohaterów historii rodu Rodrigandów. Wagner słuchał opowieści uważnie, nie przerywając. Często, gwałtowne wypluwanie tytoniu, który żuł bez przerwy, zdradzało tylko, że słowa hrabiego robią na nim wrażenie. Gdy don Fernando skończył, Wagner przeszedł się kilkakrotnie po pokładzie, po czym zawołał:

— Niebawale! Wstrętne! Straszne! Czy cała pańska istota nie woła: zemsty, zemsty?

— Oczywiście. Z pewnością zemścimy się, jeżeli te łotry jeszcze żyją.

— Jeszcze żyją? Takie kanalie nie umierają łatwo, don Fernando. Idę o zakład, że nie smażą się w piekle. Co pan zamierza zrobić, don Fernando?

— Chcemy się dostać do Kalkuty.

— Aby wynająć statek?

— Albo kupić. W tym celu zabrałem przecież skarby sułtana. Czy zna się pan, kapitanie, na prowadzeniu parowca?

— Tak! Główna rzecz to dobry maszynista, bo z maszyną kapitan ma niewiele do czynienia. Dlaczego pan pyta o to?

— Ponieważ mam zaufanie do pana. Chciałbym, aby senior zawiózł nas na wyspę.

— Ja? Ależ z prawdziwą przyjemnością! Sam o tym myślałem! Jeżeli chce pan naprawdę skorzystać z usług starego wilka morskiego, mam nadzieję, że będzie pan ze mnie, przy boskiej pomocy, zadowolony.

— A co z „Syreną”?

— Z tym nie będzie kłopotu. Zrobiłem w Zejli świetny interes. Muszę jeszcze tylko wziąć ładunek w Kalkucie. Mój sternik go zawiezie. To uczciwy człowiek. Usprawiedliwi mnie przed właścicielem.

— Świetnie! W takim razie wszystko w porządku?

— W porządku — przytaknął kapitan.

Dął pomyślny wiatr, a „Syrena” była dobrym żaglowcem. Przybyli do Kalkuty w jakieś trzy tygodnie po wyruszeniu spod góry Elmes. Kapitan znalazł odpowiedni ładunek. Podczas gdy jego ludzie zajęci byli ładowaniem towarów, rozpoczął poszukiwania parowca. Niestety, żaden nie był do sprzedania, wszystkie bowiem stojące w porcie stanowiły własność rządu lub towarzystw akcyjnych; kapitanowie nie mogli nimi dysponować. Wagner zwątpił już zupełnie, czy uda mu się osiągnąć cel, gdy do portu wpłynął parowiec pod banderą angielską. Jego właściciel postanowił go sprzedać. Wagner obejrzał statek, skonstatował, że jest nowy i dobrze zbudowany.

Choć cena była wysoka, kupił go wraz z całą załogą.

Hrabia już wcześniej zdobył potrzebną kwotę. W Kalkucie kwitł handel klejnotami i perłami, toteż z łatwością i za dużą sumę sprzedał część kosztowności. Zaopatrzone parowiec w węgiel, prowianty i inne rzeczy potrzebne do podróży. Hrabia nie żałował też pieniędzy dla siebie i najbliższych. Emma znowu przywdziała piękne suknie, a hrabia i Mindrello zostali wyposażeni we wszystko, czego brak tak długo odczuwali. Don Fernando nikomu nie zwierzał się ze swych planów z wyjątkiem konsula hiszpańskiego, który sporządził dla nich paszporty i inne potrzebne dokumenty oraz chętnie pomagał we wszystkich sprawach.

Po pewnym czasie można było wreszcie podnieść kotwicę. Najważniejszą rzeczą było określić położenie samotnej wyspy. Emma oznaczyła je wprawdzie na mapie, starając się dokładnie przypomnieć sobie to, co na ten temat mówił Sternau, ale przecież nie miał on przy sobie odpowiednich przyrządów i na jego pomiarach nie można było w pełni polegać. Postanowili więc szukać we wskazanym kierunku tak długo, dopóki nie odnajdą wyspy.

Ponieważ wiał sprzyjający wiatr, statek gnał szybko z podniesionymi żaglami.

Według obliczeń Sternaua wyspa powinna być położona równoległe do Wyspy Wielkanocnej, piętnaście stopni na południe i trzynaście na wschód. Zaczęli krążyć wokół tego miejsca. Trwało to przez kilka dni, ale nie przyniosło żadnego rezultatu. Ze względu na podwodne rafy Wagner nocą zatrzymywał maszynę, parowiec unoszony był tylko podmuchem wiatru. W ten sposób kapitan osiągał podwójną korzyść: po pierwsze zabezpieczał statek przed rafami, po drugie oszczędzał węgiel, którego jedynie niewielki zapas mógł się pomieścić na statku.

Wagner sypiał tylko w dzień po kilka godzin. Pewnej nocy czuwał na wysokim pomoście kapitańskim, wpatrując się to w usiane błyszczącymi gwiazdami niebo, to w morze. Obok niego stał don Fernando z lunetą przy oku. W pewnej chwili kapitan powiedział:

— Don Fernando, niech mi pan pozwoli na chwilę lunetę.

— Proszę. Czy pan coś widzi? — zaciekał się hrabia.

— Tuż nad powierzchnią wody świeci jakaś gwiazda o dziwnym blasku. Idę o zakład, że to nie gwiazda z firmamentu.

— A więc po prostu nie gwiazda?

— No właśnie. To sztuczne światło, jakiś płomień. Wziął lunetę i zaczął patrzeć przez nią. Po chwili odłożył instrument i powiedział:

— Teraz już wiem na pewno. To nie gwiazda.

— I ja ją widzę. Ale może to latarnia statku, który płynie nam naprzeciw?

— Nie. To blask ognia płonącego na lądzie.

— Ach, więc zbliżamy się do wyspy?

— Przypuszczam. Moja luneta nie oszukała mnie jeszcze nigdy. Obliczyłem dokładnie, w jakim punkcie się znajdujemy i wiem, że tam nie ma stałego lądu. Dlatego nie wykluczone, że to ta nieznaną wyspa.

— Boże, gdyby tak było! Czy mam zbudzić seniorę Emmę?

— Nie, jeszcze nie. Niech pan patrzy! Zdaje się, że światło gaśnie.

— Rzeczywiście — zasmucił się hrabia. — Może to był meteor, a nie sztuczne światło?

— O nie, to był z pewnością ogień zapalony ręką człowieka. Proszę patrzeć, zgasł zupełnie, a przed dwiema zaledwie minutami płonął wysoko i jasno. I to by się też zgadzało. Ogień, powstały z tęgich pni lub innego niełatwopalnego materiału, nie gaśnie tak szybko, a pamięta pan, co mówiła seniora Emma? Że drzew na wyspie nie ma.

— Ale czy ludzie przy tym ognisku dojrzą nasze światła?

— Nie. Dziela nas od nich jakieś trzy mile morskie. Ich ognisko miało wysoki płomień, a nasza

latarnia daje mały blask.

— Kiedy go ujrzą, będą sądzili, że to gwiazda?

— Bez wątpienia. Ale dam im znak.

Kazał wypuścić kilka rakiet. Rozkaz wykonano, ale sygnał nie został rozpoznany.

— Nie zauważyli nas — rzekł kapitan. — Gdyby spostrzegli, na pewno powtórnie rozpaliliby ognisko. Będziemy musieli poczekać do jutra.

— Kto to wytrzyma?! — zniecierpliwiał się hrabia — Czy nie możemy popłynąć pełną parą?

— Nie. Wyspę, której szukamy, otaczają niebezpieczne rafy. Wieje teraz łagodny wietrzyk od zachodu ku wschodowi. Niechaj nas niesie, a o świcie zobaczymy, co dalej.

To stwierdzenie nie zadowoliło hrabiego. — A może damy strzał armatni, kapitanie?

— Nie radziłbym. Jeżeli to nie ta wyspa, musimy zakładać, że mieszkają tam dzicy. Ze strachu przed strzałami gotowi się ukryć. A gdy o świcie ich zaskoczymy, może dowiemy się czegoś, co nam się przyda.

— A jeżeli to wyspa naszych przyjaciół?

— W takim razie strzelaniną zakłócimy tylko sen tych biedaków.

Upływał kwadrans za kwadrans. Na próżno Wagner prosił hrabiego, by udał się na spoczynek. Starzec chodził po pokładzie tam i z powrotem. Minuty zdawały mu się godzinami, godziny dniami.

Nad ranem obserwator statku ostrzegł:

— Rafy na prawo!

Statek skręcił w lewo, zostawiając przeszkodę po prawej stronie. Wkrótce zaczęło szarzyć na wschodzie. Już można było rozpoznać zarysy wyspy otoczonej koralowymi rafami, wśród których, jak się zdawało, prowadziła jedna tylko droga. Morze było tak spokojne, że przebyto je bez trudności. Teraz już dokładnie widzieli wyspę. Krzewy rosły w szeregach tak regularnych, jakby je posadziła ręka człowieka. Ale mimo że wyteżali wzrok, nie dostrzegli ani śladu siedzib ludzkich.

Hrabia wszedł na mostek kapitański.

— I co pan sądzi? — zapytał. Głos jego drżał ze wzruszenia, mimo że starał się opanować.

Wagner spojrział na niego serdecznie.

— Jesteśmy u celu, don Fernando — powiedział ciepło.

— Naprawdę? Jest pan tego pewien?

— Pst! Zbudzi pan seniore.

— Dlaczego ma spać?

— Chcę jej zrobić niespodziankę. Niech zobaczy swych towarzyszy na pokładzie, gdy się obudzi.

— Na jakiej podstawie przypuszcza pan, że to poszukiwana przez nas wyspa?

— Wygląda tak, jak ją seniora Emma opisała. A doktor Sternau to dobry żeglarz. Mimo braku przyrządów podał położenie wyspy zupełnie dokładnie. Powinienem był odszukać ją wcześniej.

— Nie widzę domów.

— Leżą za wzgórzem, które je chroni przed burzami. Zarzucimy kotwicę i podpłynemy łodzią. Mieszkańcy wysepki śpią jeszcze z pewnością.

Kapitan zbudził połowę załogi. Wykonywano jego rozkazy, starając się zachować ciszę. Wagner wsiadł z hrabią i czterema wioślarzami do łodzi. Marynarze znali cel podróży, toteż byli ciekawi, czy istotnie przybijają do poszukiwanej wyspy. Łódź zręcznie omijała rafy. Szczęśliwie dotarli do brzegu i przycumowali szalupę. Wioślarze pozostali, kapitan zaś i hrabia ruszyli ostrożnie naprzód.

Obszedłszy wzgórze, ujrzeli szereg niskich chat, zbudowanych z ziemi i gałęzi. W otworach wejściowych wisały skóry. Wokół chat spostrzegli jakieś przedmioty o niewiadomym przeznaczeniu. Krzewy przeważnie pozbawione były gałęzi, co oznaczało, że mieszkańcy wyspy chcą

wyhodować mocne pnie, aby zbudować z nich tratwę.

Ale jeszcze coś zauważyli. Na wprost nich, obok ostatniego krzaka, stał ktoś niezwykle wysoki, o bardzo szerokich barach. Bluza i spodnie, które miał na sobie, uszyte były ze skórek króliczych. Nogi tkwiły w sandałach, głowę okrywał kapelusz, upleciony zapewne z jakiejś trawy. Gęsta, piękna broda sięgała poniżej piersi. Ciemne włosy spływały z pleców. Mężczyzna twarz miał pooraną zmarszczkami, ale szlachetną. Z głęboko osadzonych oczu, skierowanych ku wschodzącej jutrzence, biła wielka siła ducha. Był to Sternau. O czym myślał ten człowiek? Jakie uczucia go przepełniały?

Tam na wschodzie, gdzie wstawiała jutrzienka nowego dnia, leżała Ameryka, a za nią daleko ojczyzna, w której żyli wszyscy mu najbliżsi: matka, siostra, żona. A może już nie żyją? Może umarli z rozpaczy i tęsknoty? Tutaj, na wyspie, przez długie, długie lata wychodził co rano ze swej chaty i modlił się gorąco. I teraz ukląkł. Nie zauważył przybyszów, którzy stali z boku, ukryci w zaroślach; nie mógł też zobaczyć statku, ponieważ zasłaniało go wzgórze. Zdjął kapelusz z głowy, złożył ręce i modlił się, nie przypuszczając nawet, że każde jego słowo słyszą dwaj obcy mężczyźni:

*Kiedy ranne wstają zorze,  
Tobie ziemia, Tobie morze,  
Tobie śpiewa żywioł wszelki,  
Bądź pochwalon, Boże Wielki!*

Mimo że modlił się półszepceniem, głos jego brzmiał dźwięcznie. Była w nim pokora, wiara i nadzieja w łaskę Boga. Hrabiemu, gdy słuchał tych słów, łzy stanęły w oczach. Kapitan z trudem panował nad wzruszeniem. Fernando chciał przerwać modlitwę, lecz powstrzymał go kapitan. Sternau modlił się dalej:

— Panie Boże, Ojczyźnie wszystkich Twoich dzieci, pociecho smutnych, nadziejo uciśnionych. Twoim jestem i Tobie ufam. Tu, z pustkowia dalekich mórz, płynie ku Tobie ten głos, który jest krzykiem najgłębszej rozpaczy, wołaniem o łaskę i zlitowanie. Serce mi pęka, życie upływa w goryczy. Ratuj nas, Władco i Panie! Zabierz stąd, gdzie zalewają nas fale nędzy. Ześlij człowieka, który będzie Twoim aniołem i oswobodzi nas z niewoli. Jeżeli jednak postanowiłeś, że mamy wytrwać tutaj aż do śmierci, zlituj się nad tymi, którzy w domu modlą się o wyzwolenie, daj im serca mocne, aby znieść mogli to, co im przeznaczyłeś. Daj duszom ich pociechę i pokój, osusz łzy, ukoj rozpacz! Amen!

Powstał z klęczek. Łzy spływały mu z policzków, ale twarz miał jasną. Nagle wstrząsnął nim dreszcz. Bo oto ktoś, kto zaszedł go od tyłu, położył mu rękę na ramieniu i odezwał się w jego ojczyznym języku:

— Modlitwa pańska została wysłuchana. Jestem zbawcą, który was oswobodzi.

Sternau odwrócił się i ujrzał kapitana, a za nim hrabiego. Zachwiał się i znowu padł na kolana. Oczy miał szeroko otwarte, poruszał wargami, chciał coś mówić, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

Kapitan zrozumiał, że popełnił błąd. Jak mógł zapomnieć, że radość również może zabić człowieka!

— Boże, co uczyniłem! — biadał. — Niech się pan opamięta!

Wreszcie Sternau wyrzekł wolno i z namysłem:

— O Boże, Boże! Czy to możliwe? Kim pan jest?

— Jestem pańskim rodakiem, kapitanem parowca, który was stąd zabierze. Okręt mój stoi za wzgórzem.

Olbrzym zaczął podnosić się z klęczek, ale nagle jakby załamał się. Ramiona mu opadły, głowa pochyliła się i padł na trawę. Obaj mężczyźni zobaczyli, że drży, i usłyszeli przeraźliwe łkanie. Kapitan ucieszył się: łzy powinny mu przynieść ukojenie. I nie pomylił się. Po chwili Sternau powoli wstał i patrząc jeszcze ciągle na obu z niedowierzaniem, zapytał:

— A więc to prawda? Ludzie są tutaj? Statek jakiś przybył? Boże, wielki Boże, co za szczęście! Dzięki Ci za nie, choć omal mnie nie zabiło!

— Proszę wybaczyć — rzekł kapitan. — Byłem nieostrożny, ale opisano mi pana jako wyjątkowo silnego człowieka.

— Opisano mnie panu? Mnie? To być nie może?

— A jednak tak. I musiałbym być ślepy, gdybym nie rozpoznał doktora Sternaua...

— Więc pan mnie zna naprawdę? Kto panu o mnie mówił? Skąd pan przybywa?

— Wszystko, co wiem, zawdzięczam temu panu. Wagner wskazał na hrabiego. Sternau przyjrzał mu się uważnie. Po chwili rumieniec wystąpił na jego twarz, oczy dziwnie pojaśniały.

— Powiedział pan „temu panu”, ale chciał powiedzieć „temu seniorowi”? — zapytał.

Kapitan zdumiony potwierdził.

Sternau wyprostował się, odetchnął głęboko i zawołał:

— Prosiłem pana, byś powiedział, skąd przybywacie, ale chcę...

— Przybywamy... — zaczął kapitan.

— ... z Hararu — dokończył Sternau.

— Tak, z Hararu — powtórzył kapitan, jeszcze bardziej zdumiony.

— A to jest senior don Fernando de Rodriganda y Sevilla — mówił dalej Sternau.

— Tak, to ja — powiedział hrabia po hiszpańsku.

— Wielki Boże! Wyruszyłem na morze, by pana ratować, a oto pan mnie ocala. Poznałem seniora po rysach twarzy. Jest pan niezwykle podobny do don Manuela.

Sternau otworzył ramiona. Obaj nie znani sobie mężczyźni obejmowali się teraz, jak gdyby ód dzieciństwa byli przyjaciółmi.

— Uff! — rozległo się z chaty, a potem trzykrotnie: — Uff, uff, uff!

Wódz Apaczów Niedźwiedzie Serce obudził się i usłyszawszy głosy wyszedł z chaty. W tej samej chwili z sąsiedniej chaty wyszedł Bawole Czoło, wódz Miksteków. Wzrok jego padł na obu przybyszy i zatrzymał się na hrabi.

— Uff! Don Fernando! — zawołał uszczęśliwiony. Widywali się dawniej na hacjendzie del Erina u Pedra

Arbelleza i teraz poznali natychmiast.

— Bawole Czoło! — krzyknął hrabia.

Wypuścił z objęć Sternaua i już obejmował wodza.

Radość zrównała hiszpańskiego pana i półdzikiego Indianina.

Obaj Indianie krzyczeli tak głośno, że obudzili pozostałych mieszkańców wyspy. Zjawili się bracia Ungerowie, Mariano, a za nimi Karia. Wszyscy byli ubrani podobnie do Sternaua, brakowało im tylko kapeluszy.

Rozległy się głośne okrzyki. Padały dziesiątki pytań. Wszyscy ściskali się nawzajem. Po chwili pobiegli na górę, aby zobaczyć statek. Na jego widok nie umieli się opanować i skakali jak dzieci. Tylko jeden z tej gromadki zachowywał się spokojniej od innych. Był to Antoni Unger, zwany przez Indian Piorunowym Grotem. I w jego oczach lśniły łzy radości, ale radość ta była przytłumiona bólem.

Kapitan zauważył to i podszedłszy doń, spytał:

— Nie cieszy się pan, że wreszcie przyszło wyzwolenie?

— Cieszę się bardzo, ale radość moja byłaby większa... — Nie skończywszy zdania, zamilkł.

— Gdyby?

— Gdyby tę radość mógł jeszcze ktoś dzielić ze mną.

— Czy wolno zapytać, o kim pan mówi?

Unger potrząsnął smutnie głową i odwrócił się. Kapitan nie nalegał dalej, gdyż właśnie Sternau zapytał:

— Panie kapitanie; czy zaprosi nas pan na pokład?

— Ależ oczywiście!

— Czy zaraz?

— Jestem do waszej dyspozycji. Rozumiem, że nie chcecie tu pozostać ani minuty dłużej.

— Nie. Chcemy teraz poznać statek, któremu zawdzięczać będziemy ocalenie.

— Chodźmy więc. Na pokładzie jest dość miejsca dla nas wszystkich.

Rozpoczęły się wyścigi w kierunku łodzi. Sternau dobiegł pierwszy. Obaj Indianie, tak poważni zwykle, skakali jak mali chłopcy. Kapitan zostawił przed odjazdem odpowiednie dyspozycje załozce. Armaty były nabite. Gdy szalupa mijała rafy, dano pierwszy wystrzał z pokładu i podniesiono w górę bandery i proporce. Strzelano dopóty, dopóki wszyscy nie weszli na pokład.

Emma spała tej nocy dobrze i spokojnie. Kiedy ją zbudził wystrzał, przeraziła się ogromnie. Co to może być? Zerwała się prędko z łóżka, ubrała w pośpiechu i wybiegła na pokład. Najpierw ujrzała poszukiwaną tak długo wyspę, a potem jakieś dziko wyglądające postacie, które właśnie wchodziły na statek. Jedna z nich przystanąła na jej widok, po czym rzuciła się ku niej.

— Emmo, Emmo! — wołał Piorunowy Grot.

— Antoni! — wyszeptała z trudem.

Padli sobie w ramiona. Obsypywali się gorącymi pocałunkami, śmiali i płakali na przemian. Obok stał kapitan i radował się ich szczęściem. Wreszcie zapytał:

— No cóż, panie Unger, czy teraz pańska radość jest pełna?

— Tak, kapitanie! Ale niech mi pan powie, w jaki sposób Emma dostała się na pański statek.

Byliśmy pewni, że zginęła wraz z tratwą.

— Szczegółów dowie się pan później. A teraz zejdźmy do kajuty. Śniadanie gotowe. Niechże państwo po tylu latach zjedzą wreszcie normalny posiłek.

Wzrok Sternaua padł teraz na kogoś, kto patrzył na niego błyszczącymi oczami. W pierwszej chwili zawahał się, potem zaś, rozpostarłszy ramiona, zawołał:

— Mindrello, drogi Mindrello! Czy to naprawdę ty? Hiszpanowi łzy stanęły w oczach.

— Tak, senior, to ja. I nie umiem wypowiedzieć, jak się cieszę, że pana widzę.

— Ale w jaki sposób dostałeś się tutaj, na ten statek i przyplynałeś aż tutaj.

Mindrello pokrótce opowiedział swe przeżycia. Sternau słuchał z największym napięciem. Gdy dawny przemytnik skończył, rzekł:

— Biedaku, a więc ja ponoszę pośrednio winę za to, co przeżyłeś. Jakże posiwiałeś w ciągu tych długich lat! Zrobię, co będę mógł, abyś zapomniał o swych cierpieniach. Rodzina Rodrigandów potrafi odwdziżyć się *za* twoje usługi.

W kajucie było gwarno i wesoło. Postanowiono zjeść jeszcze na wyspie ostatni obiad, ponieważ kapitan chciał wypłynąć po południu.

— Ale dokąd? — zastanawiał się głośno Sternau.

— Do Meksyku, do ojca — szeptała błagalnie Emma.

— Do Meksyku, do tego oszusta Corteja — grzmiał don Fernando.

— Do Meksyku, do Miksteków — mówił Bawole Czoło.

— Do Meksyku, do Apaczów — dodał Niedźwiedzie Serce.

— Niech będzie do Meksyku. Popłyniemy tam wszyscy — zdecydował Sternau.

— A gdzie się zatrzymamy? — zapytał kapitan.

— Tam, skąd wyruszyliśmy w morze albo raczej w miejscu, od którego rozpoczęły się nasze nieszczęścia.

— A więc Guaymas?

— Tak. Tam zdecydujemy, co robić dalej. Śniadanie minęło wśród śmiechu i łez. Radość mieszała się z tęsknotą za tymi, którzy pozostali w domu. Po śniadaniu powrócono na wyspę. Kapitan pozwolił zejść na ląd większej części załogi. Obiad składał się z najwykwimniejszych potraw i win przywiezionych z Kalkuty. Ubrani w skóry robinsonowie jedli po królewsku.

Omawiano najbliższe plany. Powzięto szereg ważnych postanowień. Potem przygotowano się do odjazdu. Zabrano wiele rzeczy, które nie przedstawiały żadnej wartości, ale były pamiątką czasów, które na szczęście, należały już do przeszłości. Po południu podniesiono kotwicę i statek ruszył, wioząc pasażerów ku szczęśliwemu nowemu życiu.

Przygotowano na podstawie bookini.pl